EPOKA

ROK VI **Warszawa, 5 sierpnia 1939 r.** ROK VI Nr 22 (161)

6 - VIII - 1914

Najgłębszą treść historyczną dnia 6 sierpnia roku 1914 stanowi jeden fakt, podkreślany tyle razy przez Józefa Piłsudskiego: oto w chwili, kiedy rozpoczął się wielki dramat światowy, — Polacy, jako siła zbrojna, wkroczyli na scenę dziejową nie tylko w roli **przymusowych** żołnierzy mocarstw zaborczych, ale i w roli **samodzielnego** współuczestnika dramatu.

Nie chodziło wtedy o **liczbę** oficerów, podoficerów czy szeregowych słynnej „Kompanii Kadrowej"; chodziło o walor symboliczny, o wartość **polityczną** i trwałą faktu, jako takiego.

Zapewne! „Kompania Kadrowa" nie mogła się równać z korpusami armij walczących, gdy mowa o sile liczebnej i o technice.

Zapewne! gdyby zmasakrowano ją w pierwszej bitwie, — toby pamięć o niej przeminęła rychło niby pamięć o romantycznym odruchu garstki młodzieży... **Tu tkwiło ryzyko.** I kiedyś trzeba będzie skrzętnie policzyć, ile nerwów, ile sił, ile energii ludzkiej kosztowało to trwające miesiącami wędrowanie po linie cieniutkiej pomiędzy **koniecznością** wykazania **obcym** własnej mocy i wartości bojowej a **koniecznością** zachowania dla siebie samych **kadr** nie zastąpionych.

Umożliwił ową wędrówkę nieraz tragiczną po linie cieniutkiej fakt drugi: oto Legiony miały do swego rozporządzenia **mądrą i przenikliwą myśl polityczną,** umiejącą oceniać bezstronnie i rzeczowo **dzień dzisiejszy,** umiejącą patrzeć spokojnie i rzeczowo w to, co niesie ze sobą **dzień jutrzejszy.** I może właśnie dlatego „romantyzm" dnia 6 sierpnia roku 1914 przeobraził się w **realizm polityczny** na skalę międzynarodową, z „czynu straceńców" wyrósł fundament granitowy całej polskiej pracy niepodległościowej w dobie wojny.

Zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę w miesiącach jesiennych roku 1914, że nie wolno zmarnować w imię strategii dowództwa austrowęgierskiego tej garstki, która stanowiła kadry legionowe; zdawaliśmy sobie sprawę zarazem, że nie wolno narażać tejże garstki na zarzut rozmyślnego „dekowania się". Cały ciężar ogromny **rozstrzygnięć praktycznych** wzięli na swoje barki Józef Piłsudski i najbliżsi jego współpracownicy z Kazimierzem Sosnkowskim na czele.

Latarnią przewodnią była dla nich **mądra i przenikliwa myśl polityczna** obozu niepodległościowego (Piłsudski był tej myśli współtwórcą naczelnym), — myśl, która nakazywała liczyć się nie tylko z danym konkretnym układem sił wojskowych w listopadzie, naprzykład, roku 1914, ale i z możliwościami dalszego rozwoju zdarzeń, z możliwością **rewolucji rosyjskiej,** której pozycję wkładał Józef Piłsudski do swego rachunku już w październiku roku 1914. Chodziło o to, by ocalić za wszelką cenę kadry polskiej **samodzielnej** siły zbrojnej.

Chodziło o to, by istniały te kadry, w okresie następnym, gdy wypadnie „zmienić front", skierować żywe siły kraju przeciwko wczorajszym „sprzymierzeńcom", przeciwko okupacji niemiecko-austriackiej na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego...

***

Po latach dwudziestu pięciu myślę często o tamtych przeżyciach i o tamtych czasach. I taki jestem pewny, że **ówczesna nasza zbiorowa myśl polityczna,** myśl obozu niepodległościowego, **pracowała bez zarzutu,** umiała oceniać, umiała przewidywać, umiała **nie blagować** wobec własnego sumienia.

To było jedno ze źródeł ówczesnej naszej siły.

Istniało wszakże **źródło drugie,** bodaj najważniejsze.

Myśmy wszyscy — i działacze wojskowi Legionów, i pracownicy konspiracji „cywilnej", — wyszli ze śro-

dowisk ideowych, które sprawę polską łączyły ze sprawą ludową, ze sprawą Wolności. Łączyły nierozerwalnie. I jakby to powiedzieć? Tu, a nie gdzieindziej, w przeświadczeniu wewnętrznym, że **mamy rację**, leżała osnowa **pewności siebie**, nie opuszczająca ani na chwilę i legionistów, i „konspiratorów", poprzez wszystkie lata wojenne. **Mamy rację!** I okazało się, że... **mieliśmy rację...**

***

Minęło wiele już lat... U ludzi poniektórych „szary popiół życia" zasypał entuzjazm młodzieńczych nadziei i marzeń. Inni wytrwali. Bywało rozmaicie. Bywały ciężkie godziny rozstania. Nie wie nikt, jakie słowa padną w tym roku w dniu 6 sierpnia z trybuny krakowskiej. Wiem jedno: słowa najistotniejsze wypowiedziała już historia, wracając poniekąd do początków „Czynu Legionowego" sprzed dwudziestu pięciu lat. Te słowa brzmią:

„Polski miejsce jest w obozie walczących za świętą sprawę wolności."

MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI

ANKIETA „EPOKI"

Sprawa Gdańska i sprawa pokoju w opinii świata

1. Czy agresja ze strony Niemiec hitlerowskich, której przedmiotem mogłaby stać się Polska, stanowiłaby niebezpieczeństwo dla pokoju świata, a w szczególności dla Pańskiego kraju? Czy kraj Pański jest zainteresowany w okazaniu natychmiastowej pomocy Polsce?

2. Czy odstąpienie Gdańska Niemcom hitlerowskim usunęłoby niebezpieczeństwo agresji? Czy uważa Pan — i czy uważa się w Pańskim kraju — stanowczą postawę i opór Polski za zasługujące na poparcie?

3. Czy dla stworzenia Frontu Pokoju pakt angielsko-francusko-sowiecki jest pożądany i konieczny? W jaki sposób możnaby przyspieszyć zawarcie tego paktu?

4. Czy rząd Pańskiego kraju jest, zdaniem Pańskim, poważnie zdecydowany do prowadzenia stanowczej i skutecznej polityki pokoju?

5. Czy wzmocnienie demokracji mogłoby zdaniem Pańskim, powiększyć moralne i materialne siły oporu?

6. Jakich środków należałoby użyć, aby obronić pokój międzynarodowy przed zamachami hitleryzmu i faszyzmu?

7. Czy zwołanie Konferencji Międzynarodowej przed ostatecznym utworzeniem Frontu Pokoju byłoby stosowne czy przedwczesne?

R. Fletcher J. P.

członek Izby Gmin

Komandor - Porucznik Marynarki Królewskiej

1. Historia świata od r. 1931 okazała jasno, że w miarę, jak agresje wieńczy sukces, żądania napastników powiększają się i stają się gwałtowne. Okazała ona, że dokonanie napaści jest rzeczą, która obchodzi każdy naród, bez względu na to, czy jest w nią bezpośrednio uwikłany czy też nie i że dotyczy to, w szczególności, wielkich mocarstw. Niebezpieczeństwo japońskie, zagrażające Anglii jest skutkiem sukcesów, które Anglia pozwala odnosić Japonii w Chinach od roku 1931. Anglia jest zagrożona na morzu Śródziemnym, ponieważ pozwolono Niemcom i Włochom na realizację ich zamysłów w Hiszpanii. Podbój Austrii i Czechosłowacji ogromnie powiększył siłę gospodarczą i wojskową Niemiec i obecnie uznaje się, że stwarza to poważne niebezpieczeństwo dla mocarstw zachodnich. Dalsza ekspansja Niemiec kosztem Polski nie nasyciłaby tego kraju; jedynym jej rezultatem byłoby nowe powiększenie jego mocy, dzięki której dokonywałby dalej napaści, tworząc w ten sposób niebezpieczeństwo dla Pokoju

2. Doświadczenia ośmiu lat napaści, dokonywanych przez sygnatariuszy paktu antykominternowskiego, dowiodło, że ustępstwa przygotowują tylko kolej do nowych żądań. Monachium przygotowało grunt do podboju Czech i Moraw, do opanowania Słowacji i do supremacji gospodarczej nad Rumunią. Gdańsk w rękach Niemiec służyłby jako środek do podboju Polski lub co najmniej do jej politycznego uzależnienia. Naród angielski, pojął, jak się zdaje, lekcję Monachium, a rząd zauważył, jak się zdaje, ten zwrot w opinii publicznej, jak o tym świadczy jego chęć uczestniczenia w polityce frontu pokoju. Opór Polski będzie wsparty przez naród angielski, jeżeli ten będzie znał całą prawdę i nie będzie oszukany, jak czasu Monachium.

3. Nie można powstrzymać napastników drogą ustępstw. Okazało się to w sposób jasny. Można ich powstrzymać tylko przez wykazanie, że napaść się nie uda. Drogą, która się narzuca jest, oczywiście, zawarcie zdecydowanego i jasno zdefiniowanego paktu między trzema wielkimi mocarstwami europejskimi, pragnącymi pokoju, Wielką Brytanią, Francją i Związkiem Sowieckim. Aby był skuteczny, pakt ten musi być zawarty na podstawie absolutnej równości zobowiązań i oparty na zasadzie, że napaść, gdziekolwiek dokonana, godzi we wszystkich sygnatariuszy. Krokiem najważniejszym, zmierzającym do przyspieszenia zawarcia takiego paktu, byłaby zmiana obecnych rządów angielskiego i francuskiego, znanych z poparcia, jakie okazywały atakom przeciw demokracji, znanych z zaufania do doradców, będących przysięgłymi przyjaciółmi mocarstw faszystowskich (Lord Perth, sir Neville Henderson, marszałek Pétain etc.) i wykorzystujących każdą sposobność dla wytłumaczenia i usprawiedliwienia napastników. Trzeba je zastąpić przez rządy osobistości, przekonanych od dawna o konieczności utworzenia frontu pokoju, przekładających szczerze demokrację nad faszyzm i nie żywiących nadziei zwrócenia ataku napastników przeciw Związkowi Sowieckiemu.

4. Premier brytyjski oświadczył, że wierzy w możliwość „pacyfikacji" nawet po podboju Czech przez Niemcy. Gdy w owej chwili Związek Sowiecki zaproponował natychmiastowe zwołanie konferencji mocarstw

zainteresowanych, premier oświadczył, że byłoby to „przedwczesne“. Gdy Włochy dokonały inwazji w Albanii, premier brytyjski nie podniósł głosu protestu; ograniczył się do oświadczenia, że, jego zdaniem, nie powoduje to zerwania paktu anglo-włoskiego. Choć wystarczyło tylko kilku tygodni do zawarcia układów z Polską, Rumunią, Turcją i Grecją, rokowania ze Związkiem Sowieckim ciągną się od miesięcy. Kalumnie miotane na Związek Sowiecki są zawsze gorąco oklaskiwane z ław konserwatystów w Izbie Gmin. Gdyby rząd angielski pragnął dojścia rokowań do skutku, te przemówienia jego zwolenników byłyby dlań ogromnie krępujące, lecz nie okazuje on żadnych oznak zakłopotania. Właśnie zupełnie niedawno rząd powierzył ważne stanowisko kierownika działu informacji w Foreign Office lordowi Perthowi, który wielokrotnie wyrażał swój zachwyt dla Mussoliniego i Ciano. Premier brytyjski stanowczo odmówił udzielenia jakichkolwiek informacyj w przedmiocie toczonych rokowań w ten sposób, że nie wiadomo dokładnie, co przeszkadza ich zakończeniu. Prasa konserwatywna czyni wszystko, co tylko w jej mocy, dla wywołania wrażenia, że to Związek Sowiecki, który propagował front pokoju od lat, podczas których rząd angielski prowadził politykę „pacyfikacji“, nie życzy sobie paktu i że on ponosi odpowiedzialność za niepowodzenie rokowań. Budzi to wielkie niebezpieczeństwo w tym znaczeniu, że gdy z końcem lipca sesja parlamentarna zostanie zamknięta i gdy ustanie presja parlamentu, wywierana na rząd, cały projekt upadnie, a Anglia, Francja i Polska znajdą się w obliczu niebezpieczeństwa wojny bez pomocy Rosji.

5. Jest rzeczą oczywistą, że demokraci wkładaliby o wiele więcej szczerego wysiłku w powstrzymanie ciągłych postępów faszyzmu, niż ludzie, których cele są bliskie celom inspiratorów faszyzmu. Okazało się to w krajach, zaatakowanych przez napastników. W Hiszpanii wielka własność, monarchiści i faszyści nie wahali się wpuścić do swego kraju wojsk włoskich, niemieckich i maurytańskich, aby obalić rząd demokratyczny. W Austrii rząd Schuschnigga pozwalał hitlerowcom na rozwijanie szerokiej działalności, nie gorsząc się nawet podważaniem niepodległości narodowej, podczas gdy partie demokratyczne były uciskane. W Czechosłowacji „przymierzu“ z Hitlerem sprzyjali faszyści i konserwatywni agrariusze. Ponieważ lud czeski został zmuszony do zaniechania oporu, Chamberlain i Daladier mogli nakłonić lud angielski i francuski do zaakceptowania układu w Monachium. Okazywało się ciągle na nowo, że właśnie tylko pod rządami demokracji może się rozwijać patriotyzm i opór wobec napaści; że właśnie demokraci chcą bronić ojczyzny i że to właśnie reakcjoniści, kierując się pobudką wspólnoty interesów z napastnikami, czynią wszystko, co jest w ich mocy ,aby zdusić opór. Aż do momentu, w którym demokracja nie zostanie odbudowana, istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że wola oporu mas ludowych zostanie zdławiona. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że lud angielski wolałby pomóc krajowi demokratycznemu, niż krajowi, gdzie opinia demokratyczna jest zduszona.

6. Krokiem najwazniejszym, który, w płaszczyźnie międzynarodowej, uczynić należy po utworzeniu frontu pokoju, jest zapewnienie demokracjom pomocy Stanów Zjednoczonych. Nie osiągnie się tego przez przemówienia w rodzaju takiego, jakie wygłosił francuski minister spraw zagranicznych, Bonnet, wyróżniającego się żarliwym poparciem „pacyfikacji“ i pragnącego zrzucić całą odpowiedzialność za utrzymanie pokoju na Stany Zjednoczone, przemówienia, które wywołało tylko naturalną reakcję amerykańskiej Izby Reprezentantów w postaci odrzucenia ustawodawstwa Blooma, dotyczącego neutralności. Najlepszym sposobem uzyskania pomocy Stanów Zjednoczonych jest okazanie, drogą stworzenia solidnego frontu pokoju, że państwa europejskie, które pokoju pragną, są zdecydowane bronić się same.

Dla zachowania pokoju jest również rzeczą bezwzględnie konieczną zapewnienie sprawiedliwości społecznej masom pracującym każdego kraju i ludom krajów kolonialnych. Fakt istnienia ucisku w łonie demokracji, a jeszcze bardziej w ich koloniach, ułatwia faszystom tworzenie podziałów i rozdźwięków. Istnieją liczne dowody powodzenia agitacji faszystowskiej w krajach kolonialnych, a jedynym sposobem jej zwalczenia jest nadanie ludom kolonialnych praw demokratycznych, autonomii i, umożliwienie postępu, którego każdy lud ma prawo się domagać. Problem sprawiedliwości społecznej jest ściśle związany z problemem ustanowienia całkowitej demokracji w krajach, zagrożonych przez faszyzm.

Jest również rzeczą nieodzowną, aby ludy mocarstw demokratycznych, pragnących pokoju, wyciągnęły dłoń przyjazną do ludów, które cierpią pod rządem faszyzmu, aby użyły wszelkich środków, celem dania im jasnego poglądu na sytuację rzeczywistą, aby je zachęcały do uwolnienia się z pod rządu faszyzmu i aby okazały, że ludy innych krajów biorą czynny udział w walce o pokój.

7. Zwołania konferencji celem przedyskutowania „żalów“ mocarstw faszystowskich żądają szczególnie ci, którzy pragną skapitulować przed Hitlerem i jego przyjaciółmi. Gospodarce państw faszystowskich coraz bardziej przyświeca nie cel zapewnienia pomyślności ludowi niemieckiemu, ale cel przygotowania tego kraju do wojny. Jest pewnym, że ustępowanie w takiej chwili wobec żądań Niemiec nie oznaczałoby przyniesienia ulgi losowi Niemców, ale ułatwienie im przygotowań wojennych. Lecz można wątpić czy konferencja, oparta na zasadach równości, ustąpiłaby kiedykolwiek wobec żądań niemieckich. Jakie są te żądania? Jest to żądanie przestrzeni życiowej w Europie Wschodniej. Jego spełnienie oznaczałoby zależność gospodarczą i polityczną wszystkich ludów Europy wschodniej od „wyższej“ rasy niemieckiej, oznaczałoby to znalezienie się tych wszystkich ludów w sytuacji Czechów, którzy mogą produkować tylko to, czego Niemcy potrzebują i co nie stanowi konkurencji dla fabrykatów przemysłowców niemieckich. Co się tyczy zwrotu kolonij i dostępu do źródeł surowców, Niemcy dały w sposób jasny do zrozumienia, że nie będą uczestniczyły w żadnym układzie międzynarodowym o rozdziale surowców, bądź o międzynarodowej kolonizacji. Domagają się one władzy nad koloniami, jako „prawa ludów niemieckich“. Nie mówiąc już o wydaniu Niemcom baz kolonialnych o znaczeniu wojskowym, któreby służyły do nowych napaści, czy jest rzeczą możliwą, aby konferencja ludzi cywilizowanych oddała ludy kolonialne na pastwę rządu hitlerowców, którzy prześladowali i torturowali Żydów, którzy oświadczali, że murzyni to małpy, a nie ludzie i którzy wprowadzili w życie barbarzyńskie prawa norymberskie? Konferencja taka albo byłaby nowym Monachium, albo nie dałaby żadnego rezultatu. Niemcy oświadczyły, że nie zasiądą za żadnym stołem konferencyjnym bez oręża. Tylko wtedy, gdy pokaże się hitlerowcom, że istnieje siła o wiele bardziej potężna od tej, jaką Niemcy mogą nagromadzić, siła, która przeciwsta-

wi się takiej polityce, żale mogą być wzięte pod uwagę, raczej w duchu współpracy niż w duchu terroru i napaści.

Sir Peter Chalmers Mitchell

Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego, Członek Royal Society

1. Agresja Niemiec hitlerowskich przeciwko Polsce narażiłaby pokój świata i godziłaby w Anglię pośrednio albo bezpośrednio.

2. Ustąpienie Gdańska zapoczątkowałoby tylko nowy etap agresji hitlerowskiej. Sądzę, że wola oporu Polski winna się spotkać z zachętą, lecz wątpię, czy opinię tę podziela większość narodu Wielkiej Brytanii.

3. Pakt angielsko-francusko-sowiecki, oparty na zasadzie wzajemnej pomocy i bezwzględnej wzajemności zobowiązań, jest pożądany i konieczny dla utworzenia frontu pokoju. Zawarcie takiego paktu może być przyspieszone przez kampanię aktywną i skuteczną przeciw Chamberlainowi i tym, którzy go podtrzymują w Izbie Gmin, w Izbie Lordów i w londyńskiej City.

4. Moim zdaniem, rząd angielski chciałby zawrzeć przymierze z mocarstwami faszystowskimi i poniesie każde ryzyko, aby uniknąć układu przyjaźni ze Związkiem Sowieckim.

5. Wzmocnienie demokracji, dokonane w jakimkolwiek kraju, wzmocniłoby doraźnie siły moralne i materialne oporu, a koniec faszyzmu może doprowadzić do triumfu demokracji w krajach faszystowskich.

6. Sądzę, że jedyna rzeczywista nadzieja utrzymania pokoju światowego leży we wzmocnieniu sprawiedliwości społecznej we wszystkich krajach z osobna, jako przygotowaniu do socjalnej federacji światowej.

7. Obawiam się, że Konferencja Międzynarodowa przygotowałaby tylko teren do starć interesów materialnych rywalizujących ze sobą krajów. Na pewno, trzeba się oprzeć agresji faszystowskiej przy pomocy wszelkiej, możliwej w tej chwili kombinacji państw, ale „demokracja" nie jest celem w sobie, jest ona krokiem ku socjalizmowi.

G. E. R. Gedye

Dziennikarz, autor „Fallen Bastions"

1. a) Najprawdopodobniej. b) Myślę, że jeśli rząd Chamberlaina spróbowałby pozostać na uboczu, albo zdradzić Polskę na rzecz Niemiec, jak zdradził Czechosłowację we wrześniu 1938 roku, powszechne oburzenie Anglii obaliłoby ten rząd i zażądałoby, aby Anglia, u boku Polski, położyła kres napaściom hitlerowskim.

2. a) Nie, powiększyłoby to w najwyższym stopniu niebezpieczeństwo wojny. b) Jestem przekonany i sądzę, że większość Anglików myśli jak ja.

3. Pakt taki jest bezwzględnie konieczny. Stanowi on jedyną nadzieję powstrzymania Hitlera od dokonania nowego ataku, któryby zakończył się wojną światową. Jego zawarcie mogłoby zostać przyspieszone przez presję opinii publicznej Anglii w kierunku zmuszenia Chamberlaina do dymisji.

4. Nigdy nie uwierzę, aby rząd mający w swoim składzie Chamberlaina, Hoare'a i Simona był „poważnie zdecydowany" do prowadzenia stanowczej polityki, chociaż dostateczna presja opinii publicznej może go do tego zmusić.

5. Na pewno. FRONT POKOJU jest jedną z głównych sił antyfaszystowskich świata i nie powinien objąć kraju, którego kierownicy stosują metody hitlerowskie.

6. Wzmocnienia środków bojkotu eksportu państw napastniczych, w rodzaju cła amerykańskiego na towary niemieckie, wzmocnienia kampanii uświadamiającej lud niemiecki, czy to z pomocą radia, czy z pomocą innych środków, aby go przekonać, że to nie jego się uważa za groźbę dla pokoju światowego, ale dyktatorów, którzy są jego obecnymi kierownikami; hojnej pomocy finansowej i innej ze strony krajów bogatych, aby przyspieszyć dozbrojenie państw zagrożonych; ciągłego dodawania otuchy uciskanej Czechosłowacji, Austriakom—antyhitlerowcom i demokratom niemieckim, aby wykorzystywali każdą sposobność, która się nadarza w celu przysporzenia trudności dyktatorom hitlerowskim.

7. Byłoby to nieszczęściem i oznaczałoby to nowe Monachium.

Zdenek Fierlinger

Poseł Czechosłowacji w Moskwie

W kwestii Gdańska pragnę powiedzieć naszym przyjaciołom polskim tylko tyle: urzeczywistnienie Europy prawdziwie demokratycznej i wolnej zależy jedynie od naszej woli przeciwstawienia się hitleryzmowi i faszyzmowi, od naszej woli zwycięstwa. Wszelka polityka kompromisu i ustępstw wobec Niemiec hitlerowskich — polityka, tak fatalna dla mego nieszczęśliwego kraju — winna być ostatecznie porzucona; oto dlaczego my demokraci czescy i słowaccy pragniemy, aby demokracje zachodnie, jak również Związek Sowiecki pozostały zdecydowane wobec nowych żądań, wysuniętych przez Niemcy hitlerowskie w stosunku do Polski. Życzymy szczerze narodowi polskiemu utrzymania niepodległości i skutecznej obrony wszystkich jego interesów na prawdę narodowych i życiowych, ale jednocześnie pragniemy także, aby Polacy pojęli, że naród polski będzie mógł zachować swoje miejsce i rolę mu przeznaczoną tylko w Europie demokratycznej, wolnej od wszelkiego imperializmu i szowinizmu. Trzeba, aby naród polski przyswoił sobie słuszne zrozumienie tych idej, dzięki którym możliwa będzie ścisła i na prawdę szczera współpraca między ludem czechosłowackim i polskim, dzięki której wszystkie problemy polityczne, narodowe i gospodarcze będą mogły być rozwiązane między wszystkimi narodami europejskimi w duchu doskonałej sprawiedliwości narodowej i społecznej.

**

W najbliższych numerach „Epoki" ukażą się dalsze odpowiedzi z Anglii:

Płk. Josiah Wedgwooda, b. ministra,

Prof. Olafa Stapledona, pisarza.

Richarda Aclanda, członka Izby Gmin.

D.N. Pritta, K. C., członka Izby Gmin i Egzekutywy Labour Party.

Wiliama Gallachera, członka Izby Gmin.

Hamiltona Fyfe'a, redaktora „Reynolds News".

Dekada polityczna

„Krucjata pokojowa Hitlera".

T. zw. odprężenie na odcinku gdańskim trwa. Przy ujściu Wisły panuje w dalszym ciągu „spokój": próba formalnego przyłączenia Gdańska do Rzeszy dotąd nie nastąpiła. Stan faktyczny w Wolnym (?) Mieście wygląda w tej chwili tak: insp. Lipiński ma stanąć przed sądem hitlerowskim, na terytorium polskim zastrzelony został polski funkcjonariusz państwowy, a na łamach „Völkischer Beobachter" z dnia 25 lipca stwierdził p. Forster, że Gdańsk jest całkowicie zmilitaryzowany i ufortyfikowany dla odparcia grożącej ze strony Polski agresji. To wszystko dało widocznie Wysokiemu Komisarzowi, prof. Burckhardtowi, podstawę do oświadczenia w wywiadzie prasowym, że w Gdańsku nastąpiło uspokojenie...

Jednocześnie przybiera na sile propagandowa akcja Trzeciej Rzeszy, zmierzająca do przekonania wszystkich, w Niemczech i za granicą, że Gdańsk nie wart jest wojny, wobec czego... powinien być przyłączony do Niemiec bez wojny. Taki sens mają ponawiane ostatnio ze strony Niemiec zapewnienia „pokojowe". I nawet „Gazeta Polska" przyznaje, że „krucjata pokojowa Hitlera jest bardziej niebezpieczna od jego pogróżek wojennych".

Dlaczego manewr niemiecki?

Że w tym wypadku naczelny organ Ozonu ma rację, świadczy najlepiej niesamowita wprost historia rozmowy Wohltat — Hudson. Odpowiedzialny członek rządu brytyjskiego w rozmowie z „wielorybim" przedstawicielem Trzeciej Rzeszy daje do zrozumienia, że Anglia byłaby skłonna kupić od Niemiec pokój za pożyczkę w sumie miliarda funtów szterlingów! Właściwy posmak całej aferze nadaje fakt, że za jej kulisami tkwił sir Horace Wilson, znany w najnowszych dziejach Europy jako szara eminencja monachijskich konszachtów, zakończonych potężnym, bezkrwawym sukcesem Hitlera i rozbiorem zdradzonej w Monachium Czechosłowacji.

Afera zostaje „zasypana" — podobno w salonach ambasady... hiszpańskiej. Zdumiona opinia publiczna W. Brytanii i Europy domaga się wyjaśnień od rządu Jego Królewskiej Mości. I premier Chamberlain bez zająknienia stwierdza w Izbie Gmin, że p. Hudson, członek tegoż rządu, rozmawiał... prywatnie i nieobowiązująco! A prasa niemiecka w świętym oburzeniu woła, że Niemcy nie mają nic do sprzedania, że honor germański nie jest na sprzedaż. Mimo to nikt w Europie nie może zrozumieć, jakim to sposobem członek rządu Wielkiej Brytanii, przy niewątpliwym udziale wybitnego i „zasłużonego" monachijczyka p. Wilsona, wiernego towarzysza zeszłorocznych lotów Chamberlaina, mógł sobie pozwolić na tak daleko idące „sugestie" w nieobowiązującej, prywatnej rozmowie z oficjalnym wysłannikiem Berlina — i jak się to stało, że za tę osobliwą „lekkomyślność" nie spotkały go żadne konsekwencje, choć w prasie padło nawet słowo „dymisja". Podejrzana „nieostrożność" Hudsona została przecież ostro i niedwuznacznie skrytykowana przez prasę francuską i nawet bonnetowski „Temps" zdobył się tym razem na mocne słowa.

Afera Hudson — Wohltat odsłoniła raz jeszcze nieporzucone widocznie tendencje monachijskie pewnych, bardzo wpływowych czynników politycznych w Londynie. Trudno w tym wszystkim zrozumieć tylko jedno: dlaczego aferę tę nazwano „manewrem niemieckim". Przecież p. Hudson nie jest członkiem rządu niemieckiego, lecz angielskiego! A jeżeli „sugestie" jego zostały wykorzystane przez Berlin dla posiania wzajemnej nieufności w łonie bloku pokojowego, to tym większa jest odpowiedzialność Hudsona i jego mocodawców (których możemy się tylko domyślać), tym ostrzej należy osądzić szkodliwą dla sprawy pokoju politykę kół monachijskich w Anglii. Natomiast wołanie o „niemieckim manewrze" uznać trzeba za — jakże nieudolną! — próbę wybielenia i zamaskowania monachijskiej roboty pewnego odłamu brytyjskich „sfer gospodarczych", dyrygujących rządowym skrzydłem partii konserwatywnej i narodowych liberałów p. Simona.

Hitleryzacja Hiszpanii.

„Pokojowa krucjata Hitlera" polega jednak nie tylko na próbach rozsadzenia lub przynajmniej rozluźnienia tworzącego się wbrew monachijczykom i kapitulantom Frontu Obrony, przy czym głównym, jak się okazuje, celem jest tu izolacja Polski.

Trzecia Rzesza umacnia jednocześnie swe dotychczasowe zdobycze, naprawia wyłomy uczynione ostatnio w systemie swych sojuszów, przeciwdziała próbom wyrwania tego lub innego państwa faszystowskiego spod swej niepodzielnej kontroli. Czyni to z różnym skutkiem, z zmiennym szczęściem. W każdym razie na półwyspie pirenejskim może Berlin zanotować w tej chwili poważny sukces.

W obozie faszyzmu hiszpańskiego, którego **formalnym** wodzem jest Franco, nastąpiło poważne przesunięcie sił na korzyść skrzydła jawnie i stanowczo prohitlerowskiego, skrzydła, którego wodzem jest szwagier gen. Franco, minister spraw wewnętrznych i szef hitlerowskiej „Falangi", Serrano Suner. Likwidacja monarchistycznych generałów, Queipo de Llano, Yague i innych, jest zapewne tylko wstępem do zupełnego wyrugowania wpływów starej reakcji burbońsko-klerykalnej na rzecz „nowoczesnego" nacjonalizmu, stanowiącego bardziej „dynamiczną" i sprawniejszą ekspozyturę Gestapo, niż zbankrutowane i nieudolne kliki generalsko-biurokratyczne. Uderzenie w konserwatywną frondę nastąpiło bezpośrednio po wizycie hrabiego Ciano, jednego z najaktywniejszych obecnie agentów Hitlera — **formalnie** włoskiego ministra spraw zagranicznych. Ciano przywiózł do Hiszpanii dyrektywy Ribbentropa, zmierzające do ostatecznego zglajchszaltowania tego kraju i zapewnienia jego udziału w ewentualnej wojnie po stronie osi. Dyrektywy te zostały przez wodza „narodowej" Hiszpanii niezwłocznie wprowadzone w życie. Nastąpiło uderzenie w „tradycjonalistów", przebąkujących nieśmiało o neutralności Hiszpanii. Jaskrawym przejawem tego ślepego posłuszeństwa pana Franco wobec Berlina było zdezawuowanie lizbońskiego wywiadu generała Arandy, który właśnie pozwolił sobie na zapowiedź neutralności. O tym mowy nie ma, dopóki Hiszpanią rządzi faszyzm, dopóki na jej czele stoi „narodowy" bohater Franco. Hitler rozkazuje — Franco wykonuje. Taka jest rzeczywistość hiszpańska w tej chwili.

I łudzą się te koła, w Anglii i we Francji, które dla wyrwania Hiszpa-

nii spod władzy Hitlera wzmacniają tam dyktaturę faszystowską, której niedawno pomogły do zwycięstwa. Jeżeli p. Bonnet wysyła dziś do Madrytu złoto hiszpańskie — zdeponowane we Francji przez legalny rząd Republiki — w nadziei, że w ten sposób będzie można udobruchać pana Franco i odciągnąć go od osi, to zawód będzie nie mniejszy od wszystkich dotychczasowych zawodów polityki monachijskiej. Stawka na reakcję zawiedzie. Tylko sam naród hiszpański, tylko demokracja hiszpańska zdoła wyrwać ten kraj z drapieżnych szponów Berlina.

Między Karpatami a Morzem Egejskim.

W Europie Śr. i Południowo-Wschodniej napotyka Trzecia Rzesza na trudności i opory znacznie poważniejsze. Między Niemcami a Francją i przede wszystkim Anglią toczy się tam wytężona, choć przeważnie utajona, walka o wpływy gospodarcze i polityczne. Przy czym, o ile idzie o Bałkany, w rozgrywce z imperializmem niemieckim coraz donioślejszą rolę odgrywa Turcja, a jednocześnie coraz bardziej wtórna i podrzędna staje się rola Włoch, które po prostu w naszych oczach zatracają samodzielność swej polityki i stają się czymś w rodzaju przedwojennych Austro-Węgier.

Ogromnym ułatwieniem dla penetracji niemieckiej jest przede wszystkim fakt, że wszystkie państwa nad Dunajem i na Bałkanach są rządzone „autorytatywnie", monopartyjnie lub totalistycznie, że demokracja parlamentarna i wolność polityczna nie istnieją w tych krajach, że wszystkie one znajdują się w jarzmie różnie zorganizowanych, różnych pod względem formy lecz podobnych w treści dyktatur faszystowskich. Reakcyjne kliki rządzące w tych państwach, pozbawione oparcia w kraju, znienawidzone przez społeczeństwo, boją się przede wszystkim własnego narodu i naturalną swą ostoję widzą w możnym protektorze berlińskim, naczelnym wodzu międzynarodowej reakcji, twórcy „ideologicznego" bloku faszyzmów. Jeżeli nawet zmuszone są mniej lub więcej szczerze opierać się niemieckiemu naciskowi, czynią to lękliwie i połowicznie, bo rozumieją doskonale, że rzeczywista, skuteczna obrona przed zachłannym imperializmem Trzeciej Rzeszy możliwa jest tylko w oparciu o cały naród, o zaufanie wszystkich jego obywateli — a to oznacza przecież w końcowym efekcie likwidację rządów klikowych, odsunięcie od steru wszystkich grup, korzystających prawem kaduka z monopolu władzy, z monopartyjnego przywileju.

Ale system antydemokratyczny nie tylko w ten sposób paraliżuje siły obronne tych krajów i toruje drogę niemieckiej ekspansji. Co gorsza, w cieniu jego mogą kryć się bezpośrednie, płatne i instruowane przez Berlin, agentury szpiegowskie i dywersyjne, których nie sposób wykryć i zlikwidować, gdyż mogłoby to zakończyć się generalną kompromitacją reżimu i kliki rządzącej — doprowadzić do katastrofy całego, antydemokratycznego systemu rządzenia.

Jeżeli dodać do tego słabość ekonomiczną tych zacofanych w produkcji krajów, które już przed wojną uzależnione były od Niemiec, a obecnie uzależniły się jeszcze bardziej, wskutek zaboru Czech, to łatwo zrozumieć, że przeciwdziałanie ekonomicznym i politycznym wpływom Niemiec jest na tym terenie bardzo trudne, nawet dla Francji i Anglii.

Węgry i Słowacja — części Mitteleuropy

Te dwa kraje znajdują się w tej chwili — Słowacja całkowicie, Węgry niemal całkowicie — we władaniu Trzeciej Rzeszy. O jakiejkolwiek samodzielnej polityce Węgier (nie mówiąc już o „niepodległej" Słowacji) nie ma obecnie mowy. Reakcja węgierska panicznie boi się własnego narodu, który w dziejach swych zapisał już nie jedną piękną kartę walki o wolność. Rządzi tam warstwa feodalna, drżąca ze strachu na myśl o reformie rolnej. A instruowany i finansowany przez Berlin węgierski ruch narodowo-„socjalistyczny" (z **hrabią** Palffym na czele!) szantażuje przerażonych magnatów właśnie widmem reformy rolnej! Rzecz jasna, że w takiej sytuacji arystokratyczny rząd w Budapeszcie musi, nawet gdyby nie chciał, wykonywać posłusznie berlińskie dyrektywy, żeby tylko nie rozgniewać Hitlera. Polityka niemiecka wykorzystuje przy tym kwestie narodowościowe; przede wszystkim szantażuje Budapeszt mniejszością niemiecką na Węgrzech, a jednocześnie podszczuwa przeciw sobie Węgrów i Słowaków. Z jednej strony czyni aluzje na temat rozbioru Słowacji, czym wzbudza apetyty węgierskich magnatów i strach w Bratysławie, z drugiej strony po przez różnych „niepodległościowców" słowackich trzyma w szachu Budapeszt, który zagarnął sporą połać słowackiej ziemi. Prócz tego ma Berlin w odwodzie zakarpackich Ukraińców, ujarzmionych w marcu przez Węgry. W razie potrzeby można przecież uruchomić faszystów ukraińskich, którzy teraz, po kilku miesiącach madziarskiego ucisku, znaleźliby może na Zakarpaciu przychylniejszy oddźwięk, niż w czasie niefortunnych rządów Wołoszyna — Rewaja, ustanowionych na gruzach czechosłowackiej demokracji.

Walka o Bałkany

Nie tak pomyślnie dla Berlina przedstawia się położenie na Bałkanach.

Wyeliminujmy od razu z tych rozważań Bułgarię, z której Hitler chce uczynić straszaka przeciw Rumunii, a może też Jugosławii i Grecji. Rząd bułgarski jest w poważnym kłopocie i w jeszcze większym strachu. Penetracja gospodarcza Rzeszy jest tam bardzo silna, wpływy hitlerowskie w sferach reakcyjnych niewątpliwie dominują. Zwyrodniały, okrutny i jednocześnie tchórzliwy, totalizm bułgarski całą duszą rwie się do totalnej kapitulacji wobec Berlina, który obiecuje mu na przynętę rumuńską Dobrudżę i ew. dostęp do Morza Egejskiego kosztem Grecji. Ale — Bułgaria znajduje się w fatalnej sytuacji. Niemcy są daleko, Włochy też, nawet z Węgrami nie ma wspólnej granicy. Natomiast na karku znajduje się znakomita armia turecka, gotowa każdej chwili do uderzenia w razie agresji bułgarskiej przeciw Rumunii. I dlatego rząd bułgarski lawiruje. Premier Kiosseiwanow jedzie do Berlina, ale prezes Sobrania Mu-

szanow odwiedza Paryż i Londyn. Militarnie Bułgaria nie przedstawia poważnego niebezpieczeństwa.

O wiele poważniejsze jest zagadnienie jugosłowiańskie. Militarnie siła nie do pogardzenia. Ale — Jugosławia graniczy z Niemcami, Włochami i Węgrami. Rząd jej jak ognia boi się demokracji i nie może zdobyć się na demokratyczne rozwiązanie palącego problemu chorwackiego. Nacisk gospodarczy Rzeszy jest bardzo silny. Mocarstwom osi bardzo zależy na ostatecznym wyłamaniu tego państwa z Ententy Bałkańskiej, która w tej części Europy stanowi — mimo wszystkich niedomagań — poważną placówkę bloku obrony. Regencja belgradzka gra na zwłokę. Książę Paweł odwiedza Berlin i Londyn. Wizyta berlińska nie dała spodziewanych przez Hitlera wyników, a jugosłowiańskie sfery gospodarcze stawiają ostatnio nieco silniejszy opór naciskowi niemieckiemu w dziedzinie stosunków handlowych. Jak dotąd, nie można więc mówić o definitywnym przeciągnięciu Jugosławii na stronę bloku faszystowskiego, jakkolwiek niebezpieczeństwo bynajmniej nie jest zażegnane. Polityka Belgradu kryje wiele niespodzianek i tylko bardzo stanowcza linia postępowania mocarstw zachodnich może zapewnić związanie tego państwa z blokiem obrony.

W Grecji, która jest członkiem Małej Ententy i znajduje się pod baczną obserwacją Wielkiej Brytanii i Turcji, rządzi jednak hitlerowiec Metaxas. Fakt ten należy zawsze brać pod uwagę przy ocenie perspektyw i możliwości, które kryje polityka grecka. Niewątpliwie zajęcie Albanii przez Włochy, które w ten sposób zagroziły Grecji (podobnie jak Jugosławii), zmusiło Metaxasa do zmiany polityki zagranicznej. Inaczej nie mógłby się ostać nawet przy panującym w Grecji totalizmie. Totalizm to zresztą kompletnie izolowany w społeczeństwie i oparty nie tyle nawet na armii, ile po prostu na żandarmerii. Nie popiera go ani jedno stronnictwo, ani jedna grupa polityczna od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Reżim tak „wywrotny" musiał nawet z ciężkim sercem dokonać pewnego zwrotu i zaakcentować wolę obrony niepodległości, do której naród grecki jest bardzo przywiązany; inaczej groziła ewentualność, w której Metaxas musiałby dla utrzymania się przy władzy wezwać pomocy włoskiej i rządzić pod jawnym protektoratem Mussoliniego. Ale, jakkolwiek nie wolno mieć żadnego zaufania do patriotyzmu tego wypróbowanego w ciągu lat pupila Niemiec, naród grecki wierny swej wolnościowej tradycji może pokrzyżować ewentualną próbę kapitulacji swego rządu, zwłaszcza, że Grecja posiada brytyjską gwarancję swej niepodległości i w razie napadu włoskiego, flota angielska oraz wojska tureckie pośpieszyłyby jej z pomocą, udaremniając podbój tego kraju nawet przy zdradzie Metaxasa. Interes Wielkiej Brytanii jest tu zbyt istotny, żeby Londyn mógł po monachijsku rzucić Grecję na pastwę Włochom.

Turcja na straży pokoju

Po zawarciu sojuszu z W. Brytanią, Turcja związała się takim samym układem i z Francją, uzyskując od niej Sandżak Aleksandretty (Hatai), co ostatecznie usunęło rozbieżności między obu tradycyjnie zaprzyjaźnionymi narodami. Ponieważ z Sowietami łączą Turcję już od dawna stosunki jak najlepsze, a jednocześnie jest ona niewątpliwie najpoważniejszym członem Ententy bałkańskiej i najpotężniejszym państwem muzułmańskim — udział jej we froncie pokoju posiada prawdziwie doniosłe znaczenie. Trzymając straż w Dardanelach i kontrolując w znacznym stopniu Morze Egejskie, Turcja pilnuje zarazem granicy bułgarskiej i greckiej. Współdziałając z Anglią, Francją i Sowietami, umożliwia przejazd floty obu mocarstw zachodnich przez Dardanele na Morze Czarne i sowieckiej na Śródziemne, co ma olbrzymie znaczenie dla obrony Bałkanów i Bliskiego Wschodu. Szczególnie pomyślnym objawem jest stałe zacieśnianie współpracy politycznej między Turcją i Rumunią, co wydatnie zmocniło pozycję rumuńską wobec Bułgarii i umożliwiło jej „usztywnienie" swej postawy wobec niemieckich nacisków bezpośrednich i pośrednich, przy pomocy Bułgarii i Węgier. Turcja dobrze służy sprawie pokoju i obrony.

W sumie bilans bałkański nie może być, jak dotąd, uznany za wybitnie korzystny dla Berlina — mimo pewnych pozorów, a nawet rzeczywistych sukcesów. Wydaje się, że — poza Rumunią raczej zdecydowaną do obrony swej niezależności politycznej i demonstrującą tę gotowość, mimo gospodarczego związania się z Rzeszą, inne państwa bałkańskie na razie unikają jasnych i ostatecznych decyzyj, lawirują i grają na zwłokę, aż będą mogły stwierdzić, kto jest silniejszy, z kim warto i trzeba pójść. Dlatego Bułgaria, Jugosławia, Grecja nie są jeszcze pozycjami zupełnie pewnymi, ani dla bloku pokoju, ani dla osi i, być może, stanowisko ich przez dłuższy jeszcze czas pozostanie niewyjaśnione. Pokojowa walka mocarstw zachodnich i Turcji z osią o Bałkany będzie trwała.

Próba Monachium na Dalekim Wschodzie

Sprawy te omawia w tym numerze obszerniej Wiktor Grosz. Tu pragniemy jedynie uwypuklić następujące momenty.

Przede wszystkim należy stwierdzić, iż wstępny układ brytyjsko-japoński oznaczał w intencjach Chamberlaina oczywiście nie rezygnację z brytyjskich interesów imperialnych na Dalekim Wschodzie, lecz jedynie rzucenie Chin na łup japońskiego imperializmu, w złudnej nadziei, że uda się przy tym uratować własne pozycje gospodarcze i polityczne. Dalekowschodnie Monachium miało więc być dokonane kosztem walczącego o swą niepodległość narodu chińskiego — nie kosztem materialnych interesów finansjery angielskiej.

Po wtóre — wypowiedzenie przez Stany Zjednoczone istniejącego od 28 lat traktatu handlowego z Japonią oznacza nie tylko dotkliwy cios dla jej polityki zaborczej, ale jest też poważnym zaszachowaniem monachijskiej polityki Londynu, którą Roosevelt swym posunięciem publicznie, wobec całego świata, **zdezawuował.** W tej sprawie pozycja prezydenta Stanów jest o wiele mocniejsza, niż w sprawie rewizji ustawy o neutralności. O ile idzie o Japonię, nawet tradycyjni — w stosunku do Europy — izolacjoniści republikańscy poprą Biały Dom, a hitlerowskie agentury będą musiały milczeć. Jasna rzecz, że monachij-

skie sfery w Londynie przyjęły krok Roosevelta z wyraźnym zakłopotaniem i po fakcie robią „dobrą minę do złej gry“: udają, że i oni też byli za stanowczą polityką wobec Japonii i bardzo ich cieszy decyzja Stanów Zjednoczonych. A prasa pro-chamberlainowska nie tylko w Anglii, ale i na kontynencie (niestety, także w Polsce) na gwałt tłumaczy swym czytelnikom, że polityka dalekowschodnia W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych była i jest w pełni sharmonizowana! Nie wiadomo doprawdy, na jak ogromną już naiwność liczy się przy tym beznadziejnym wybielaniu londyńskich monachijczyków!

Ostatnio donoszą o „usztywnieniu“ stanowiska angielskiego w rokowaniach z Japonią. Działają tu dwa momenty. Po pierwsze — Japonia, wykorzystując kapitulację Chamberlaina kosztem bohaterskich Chin, idzie w swych żądaniach dalej, godząc już wprost w interesy brytyjskie. O to przecież szło jej od samego początku. Widząc ustępliwość Londynu, żółty imperializm żąda uznania swych papierków za obowiązującą w koncesjach brytyjskich walutę i wydania posiadanego przez Anglików srebra chińskiego. Ten brutalny zamach na święte kieszenie monachijczyków (towarzyszy mu ożywienie nagonki przeciwangielskiej) musi oczywiście wywołać opór City i jej rządu. Po drugie — wpływa na to wzmocnienie brytyjskiego stanowiska krok Ameryki, który zmusza Chamberlaina do energiczniejszej polityki wobec japońskich napastników.

Jak dotąd Chiny nie ucierpiały poważnie wskutek angielskiej kapitulacji ich kosztem. Czytamy o nowych, znacznych sukcesach militarnych, a jednocześnie doniesiono, że Sowiety udzieliły rządowi Czang-Kai-Szeka kredytu towarowego w wysokości 30 milionów funtów szterlingów na zakup materiałów wojennych. Zdecydowane do nieugiętej obrony swej niepodległości, poparte energicznie przez Amerykę i Sowiety, Chiny z otuchą patrzą w przyszłość.

Pakt moskiewski

To czynne wystąpienie Ameryki i Sowietów po stronie Chin i uderzenie obu tych mocarstw w monachijską politykę Anglii na Dalekim Wschodzie, jest dotkliwym ciosem dla osi — także w Europie. Jest groźnym ostrzeżeniem dla Niemiec i Włoch, poważnym wzmocnieniem sił oporu we wszystkich krajach. Może przyczynić się wybitnie do uratowania pokoju.

To samo znaczenie miałoby zawarcie paktu angielsko - francusko-sowieckiego i nawiązanie rozmów trzech sztabów, o czym ostatnio doniesiono jako o rzeczy podobno już przesądzonej. W chwili, gdy piszemy te słowa, mamy tylko oficjalne oświadczenia na Zachodzie, że w Moskwie osiągnięto zasadnicze porozumienie i że w tych dniach do stolicy sowieckiej wyjeżdżają misje wojskowe angielska i francuska.

Trudno powiedzieć, ile prawdy w tych oświadczeniach. Wyjazd misyj wojskowych jest faktem, ale — z jakimi instrukcjami? Czy nie idzie tu tylko o uspokojenie w przeddzień odroczenia Izby opinii angielskiej, mocno zaniepokojonej aferą Hudsona i kapitulacją tokijską? Demonstracyjny „optymizm“ Londynu i Paryża przy dość chłodnej rezerwie Moskwy nie pozwala na udzielenie definitywnej odpowiedzi na to pytanie.

Nie wiemy, mimo wszystko, jak będą wyglądały sprawy w chwili, gdy numer ten znajdzie się w rękach Czytelników. Nie przesądzając więc w żadnym kierunku ostatecznego wyniku rokowań moskiewskich, można i należy stwierdzić już teraz, że pomyślne ich zakończenie byłoby ogromnym krokiem naprzód w budowie frontu pokoju, w realizacji zbiorowego bezpieczeństwa i mogłoby jeszcze w ostatniej chwili ustrzec ludzkość przed strasznym kataklizmem. A gdyby się okazało, że oś nie może się już cofnąć nawet w tej beznadziejnej, o ile idzie o wynik starcia, sytuacji, to trójprzymierze daje całkowitą gwarancję zwycięstwa tych państw, które nie pożądając cudzych ziem, bronią tylko własnej niepodległości, a dalekie od wszelkich planów wojennych nie uznają jednak pokoju za wszelką cenę — pokoju tchórzów i niewolników.

Polska spokojna i stanowcza

I dla naszego kraju zawarcie paktu moskiewskiego miałoby poważne znaczenie, wzmocniłoby wydatnie naszą pozycję obronną wobec niemieckiego imperializmu. Nie tylko przez to, że sojusznicy tych samych sojuszników, w tym wypadku Polska i Sowiety, siłą rzeczy, nawet bez żadnych formalnych układów i zobowiązań, mogą wzajemnie liczyć na swą mniej lub więcej czynną przychylność. Ale szczególnie ważne byłoby dla nas w tym wypadku zabezpieczenie Łotwy i Estonii przed naciskiem niemieckim, który w tej chwili jest tam niezwykle silny. Gdyby pakt moskiewski rzeczywiście doszedł do skutku, Niemcom zagrodzona zostałaby droga do opanowania Bałtyku i usadowienia się na naszej północno - wschodniej granicy. Już to samo ogromnie wzmocniłoby naszą pozycję strategiczną, zapewniając nam w razie zbrojnego konfliktu z Rzeszą spokój od granicy łotewskiej aż po rumuńską.

Oczywiście Polska nie uzależnia i nie może uzależniać swej decyzji obrony niepodległości od takiego lub innego wyniku rokowań dyplomatycznych. Wiemy, że pomoc z zewnątrz może otrzymać przede wszystkim ten naród, który sam wszystkimi siłami broni swych interesów i nie ulega żadnym kuszeniom monachijskim z zagranicy, żadnym intrygom kapitulanckim w kraju. A pod tym względem nikt nie może chyba mieć żadnych złudzeń co do stanowiska naszego społeczeństwa i naszej armii. I to daje Polsce twardą i spokojną determinację, zupełnie zresztą zrozumiałą w kraju, który zna cenę wolności i, jak nieraz już dowiódł, umie jej bronić.

ŻĄDAJCIE „EPOKI“ WE WSZYSTKICH KIOSKACH GAZETOWYCH, W CZYTELNIACH I KAWIARNIACH.

Monachium Dalekiego Wschodu?

W lipcu roku 1937 „wydarzył się“ incydent przy moście Marco Polo w pobliżu Peipingu. Dyktatura japońska spodziewała się, że w rezultacie tego incydentu zdoła w krótkim czasie siłą zbrojną zwasalizować Chiny i ustanowić w nich porządek, odpowiadający imperialistycznym zamierzeniom dzisiejszych władców Krainy Wschodzącego Słońca. Toteż cały „incydent chiński“ obliczała dufna prasa japońska na parę tygodni „karnej ekspedycji“. Jednakże w kilkanaście dni później marszałek Czang-Kai-Szek oznajmił w Kulingu, że „Chiny znalazły się już na granicy swojej wytrzymałości“ i granicę tę wnet przekroczyły. Największy naród na świecie przystąpił do obrony przed napastnikiem. Soldateska japońska, która do wojny doprowadziła, przekonała się wkrótce, że szybkie zwycięstwo nad takim przeciwnikiem, jakim są Chiny, to niezniszczalna mrzonka. Japończycy wygrali szereg bitw, to prawda, ale do wygrania wojny bardzo jeszcze daleko. Posuwając się głównymi liniami kolejowymi i wzdłuż większych rzek, zdołali rzecz prosta napastnicy złamać opór bez porównania gorzej wyposażonych wojsk chińskich, owładnąć szeregiem miast i prowincyj, faktycznej władzy nie potrafili jednak narzucić — poza częścią Chin Północnych (okolica Peipingu i Tientsinu) — pozornie podbitemu krajowi.

Obca inwazja — jak to często bywa — dokonała w krótkim czasie tego, czego nie zdołali w ciągu wielu lat dokonać politycy chińscy: zjednoczyła naród chiński dla obrony kraju przed napastnikiem. Dwa czynniki, które dotychczas wydawały się śmiertelnie sobie wrogie — Kuomintang i komuniści — złączyły siły we wspólnej walce. Strategia, zastosowana przez obrońców Chin okazała się równie prosta jak skuteczna. W pierwszym stadium, dopóki istniała nierozbita jeszcze przez Japończyków armia chińska, stawiano opór najeźdźcom, aby zdobywanie wielkich miast i ważnych punktów strategicznych kosztowało Japonię jak najwięcej, poczym — gdy przewaga japońska okazywała się zbyt miażdżąca — wycofywano się w głąb kraju, wciągając Japończyków coraz dalej i dalej. Naturalnie, armia chińska musiała przy tym również ponosić spore straty. W drugim stadium zaczęto organizować wojnę partyzancką, gnębić punkty oporu przeciwnika, znosić mniejsze oddziały, co najważniejsze zaś — organizować opór ludności na tyłach japońskich, zachęcać do sabotażów itp. Jak łatwo domyśleć się z depesz, znajdujemy się właśnie w tym stadium. Poza szkodami, jakie ponosi Japonia w bezpośredniej walce z partyzantami i naskutek wrogiego nastawienia ludności, taktyka partyzancka posiada dla Chin jeszcze jedną ogromną zaletę: pozwala ludowi chińskiemu zyskać na czasie, który jest potrzebny dla wyćwiczenia nowej armii, zdolnej już do poważniejszych działań przeciwko Japonii. A odbudowa armii chińskiej postępuje w tempie bardzo szybkim naprzód. Jak powiedział ostatnio wiceminister spraw wojskowych rządu chińskiego, armia chińska, która w lipcu roku 1937 liczyła jeden milion żołnierzy, liczy obecnie 2.500.000. Od roku 1935 do 1938 ponad osiem milionów Chińczyków otrzymało przeszkolenie wojskowe, w tym zaś roku otrzyma je jeszcze 4.500.000 młodych Chińczyków. Niestety, dla armii tej brak Chinom broni. Niemniej jednak militarne kłopoty Japonii nie tylko nie maleją, ale wciąż rosną, toteż Japonia musi na terytorium chińskim utrzymywać ponad milion żołnierzy; liczba ofiar japońskich w ciągu dwóch lat sięgnęła już miliona zabitych i rannych.

W samych tylko Chinach Północnych, gdzie władza japońska jest najsilniejsza, muszą Japończycy utrzymywać przeszło pół miliona wojska. Osiemnaście dywizyj strzeże stale linij komunikacyjnych, każda stacja kolejowa jest miniaturową twierdzą, każdy przyczółek mostowy opancerzonym i bronionym bastionem. W obszarze Hopei, między liniami kolejowymi Pekin — Hankou i Tientsin — Pukou, Japończycy usadowieni są najmocniej, najwięcej też kładą energii aby się tam utrzymać. Nic dziwnego. Jest to żyzna równina, która rodzi bawełnę, a na nią właśnie Japończycy mieli wielką ochotę. Jednakże nawet w tej prowincji, strzeżonej przez setki tysięcy wojska, nie zdołali Japończycy swoich planów przeprowadzić. Działalność partyzantów, bierny opór ludności i trudność gospodarowania na wrogim terenie sprawiły, że „jakoś“ sezon przeminął i spodziewanej bawełny Japończycy nie ujrzeli. Warto podkreślić, że w Chinach Północnych Japończycy natrafili nie tylko na zrozumiały zupełnie opór ludności pracującej, ale nie potrafili sobie zdobyć nawet większości bogatych obszarników chińskich, którzy uważają wprowadzone przez partyzanckie oddziały umiarkowane reformy społeczne za mniejsze zło, niż rzeź i grabież, uprawianą przez wojska japońskie na podbitych obszarach. Warstwa, która we wszystkich krajach jest naturalnym źródłem elementów targowickich, okazała się w Chinach w dużej mierze patriotyczna, albo, jeśli kto woli, została przez napastników zmuszona do patriotyzmu. Jest to zrozumiałe, bowiem żarłoczny imperializm japoński nic nie może ofiarować klasom posiadającym w Chinach, bo chce je po prostu „zastąpić“ w eksploatowaniu ludzi; interes burżuazji chińskiej zawsze był i jest więc nadal związany z interesami mocarstw zachodnio-europejskich, zagrożonymi bezpośrednio przez Japonię.

Patriotyzm mas chińskich jest umiejętnie podsycany przez armię chińską, która niesie im zwiększenie, nie zaś ograniczenie swobód, likwiduje stare krzywdy i nadużycia ze strony administracji, podnosi kulturę i dobrobyt ludności. Dlatego też na współpracę z najeźdźcą idą tylko elementy najgorsze, gdy zaś czynią to pod przymusem ludzie uczciwi, służą Japonii nieszczerze, dostarczając informacyj partyzantom i pomagając im w organizowaniu oporu ludności. Próby znalezienia w Chinach Hachy lub Chwalkowskiego natrafiły na ogromne trudności. Były premier chiński, Wang-Czing-Wei, który w zeszłym roku opublikował odezwę, wzywającą do zawarcia pokoju z Japonią i oznajmił nawet, że „gotów jest przyjąć na siebie obowiązek ocalenia Chin“, został zlikwidowany błyskawicznie. Nie była to zresztą jedyna ze strony Japonii próba zawarcia pokoju (oczywiście, na swoich, japońskich warunkach). W grudniu 1938 roku premier Konoe ustąpił właśnie dlatego,

że Chiny odrzuciły jego „warunki“ pokojowe i zmęczona Japonia musi prowadzić wojnę dalej.

Na całym zajętym przez wroga terenie naród chiński jest więc zgodny w swojej woli obrony kraju, mając zaś miażdżącą przewagę liczebną, mógłby walkę z Japonią wygrać, gdyby nie... czynniki trzecie, nie japońskie i nie chińskie. Czang-Kai-Szek bardzo trafnie przewidział, że w tej fazie wojny chińsko-japońskiej najbardziej będzie cierpiał interes państw zamorskich, których koncesje leżą przy brzegach, gdzie właśnie najmocniej rozsiedli się najeźdźcy. Partyzanci chińscy, którzy mogliby obronić wnętrze kraju przed inwazją, otrzymują za mało środków technicznych, aby wygnać Japończyków z nad morza, Japończycy zaś, umocnieni nad morzem, które stanowi ich jedyną drogę komunikacyjną z krajem macierzystym, są zbyt słabi, aby zwasalizować rządzony przez Czang-Kai-Szeka kraj. Stąd musiała się więc zrodzić japońska próba wciągnięcia innych państw do czynnego podboju Chin. Nie będę zajmował się tutaj analizą przesłanek, dla których politycy japońscy sięgnęli w stronę Anglii. Rozmyślnie wyreżyserowany incydent tientsiński miał być sondą, która pozwoliła przekonać się, czy Anglia będzie dostatecznie uległym kontrahentem. Można twierdzić prawie napewno, że twarde, zdecydowane stanowisko Anglii w sprawie tientsińskiej zmusiłoby Japonię do natychmiastowych ustępstw, bo przecież trudno przypuszczać, żeby Japonia szukała na terytorium Chin nowego, potężnego, bogatego przeciwnika, skoro z samymi Chinami poradzić sobie nie może. Prawda, w razie wojny Japonia odniosłaby początkowo parę sukcesów, ale siły chińsko-angielskie (nie mówiąc o rezerwie sowiecko-mongolskiej) musiałyby w końcu zatryumfować.

Czego Japonia spodziewała się po incydencie tientsińskim i rozmowach tokijskich, dowodzi artykuł w zbliżonym do japońskich sfer rządowych „Asahi Shimbun“, który napisał po prostu, że „pertraktacje nie zostaną rozpoczęte dopóki Anglia nie da Japonii satysfakcji przez jakiś wyraźny gest, dowodzący, że Wielka Brytania zastosuje w Chinach politykę ścisłej neutralności i nie będzie przeszkadzała Japonii w osiąganiu jej celów“. Jakie to cele — wiemy dobrze: opanowanie całych Chin. Co znaczy neutralność, wiemy również z Hiszpanii, gdzie nazywała się ona „nieinterwencją“ i oznaczała przede wszystkim odmowę udzielania pomocy legalnemu rządowi, walczącemu z napastnikami o niepodległość kraju. Dzisiaj, gdy Japonia goni resztkami złota, miałoby to jeszcze dodatkowo oznaczać wydanie przez Anglików Japończykom chińskich zapasów srebra, zdeponowanych w koncesji angielskiej w Tientsinie i wydanie na łup Japonii chińskiego dolara. Zwłaszcza ważne jest to ostatnie zagadnienie; dolar chiński, oparty na pieniądzu angielskim, jest nie tylko monetą, która posiada zaufanie całych Chin; jest czymś więcej— jest czynnikiem jedności ogromnego narodu chińskiego, jest pieniądzem, za który partyzanci chińscy mogą jeszcze czynić zakupy, podczas gdy lokalne papierki japońskie nie cieszą się najmniejszym zaufaniem ludności. Trzeba stwierdzić, że na sam fakt rozpoczęcia rozmów japońsko-angielskich w Tokio, dolar chiński zareagował natychmiastowym spadkiem, co spowodowało wzrost kosztów utrzymania o blisko 20 procent. Okazało się zresztą, że równocześnie z rozpoczęciem tych rozmów Anglo-Chiński Komitet Stabilizacyjny wstrzymał nagle popieranie waluty chińskiej, co tłumaczy spadek dolara chińskiego już w sposób nie tylko psychologiczny.

Oświadczenie premiera Chamberlaina w sprawie chińskiej jest naszym Czytelnikom dostatecznie znane. W gruncie rzeczy stanowi ono uznanie Japonii za stronę wojującą (posiadającą „specjalne interesy“) w Chinach i obowiązuje Anglię do nieinterwencji („nie przeszkadzania Japonii w wykonywaniu jej specjalnych zadań, związanych z sytuacją specjalną“) w walce japońsko-chińskiej. Pod tym względem dało ono pełną satysfakcję japońskiemu premierowi, baronowi Hiranuma, który jeszcze przed rokowaniami tokijskimi oświadczył, że Japonia przystępuje do nich „w duchu nieustępliwym“. Akompaniamentem do rozmów były przecież burzliwe demonstracje antyangielskie, hasła na plakatach „Walmy Anglię prosto w nos!“, „Precz z Anglią, złym duchem Czang-Kai-Szeka!“ itd. Natychmiast po rozpoczęciu rozmów w Tokio jedna z gazet tokijskich pochwaliła angielskich mężów stanu za „moralną odwagę“; z prasy japońskiej dowiedzieliśmy się też (a powtórzył tę wiadomość i „Manchester Guardian“), że „rozpatrzono sprawę wspólnego tropienia antyjapońskich elementów komunistycznych w Chinach i ustalenia wspólnego, anglo-japońskiego organu władzy, mającego służyć sprawie utrzymania pokoju i porządku w Chinach“. To już jest właściwie zapowiedź interwencji projapońskiej. Premier japoński powiedział też szczerze, że już przedwstępne porozumienie angielsko-japońskie „będzie ciosem dla narodowego rządu chińskiego i dopomoże Japończykom w załatwieniu incydentu chińskiego“. Naturalnie, premier podkreślił, że zupełnie dobrze będzie dopiero wtedy, gdy Anglia przerwie udzielanie Chinom wszelkich kredytów i pomocy.

Po Mandżurii, Abisynii, Hiszpanii i Czechosłowacji trudno już nam zaimponować, ale trzeba stwierdzić, że pierwotne zamiary Chamberlaina w sprawie chińskiej prześcignęły jednak wszystkie rekordy poprzednie. Bo proszę pomyśleć: zaatakowany bezpośrednio (tego jeszcze w poprzednich wypadkach agresji faszystowskiej nie było!), bity „prosto w nos“ imperializm angielski postanowił poddać się i ustąpić... kosztem ludu chińskiego, tak ciężko walczącego o prawo do życia! Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że Chamberlain gotów jest do najdalej idących poświęceń chińskim kosztem, natomiast konieczność płacenia Japonii z własnej kieszeni z pewnością nie była brana pod uwagę przez Downing Street. Nie, bestię japońską zamierzano „uspokoić“ i nakarmić wyłącznie chińskim mięsem. Liczono na to, że apetyt japoński tym się zadowoli. Naturalnie, jest to grube niedocenianie żarłoczności smoka tokijskiego.

Rzecz prosta, nazwalibyśmy to wszystko Monachium Dalekiego Wschodu, gdyby nie to, że klamka jeszcze nie zapadła; Anglia jeszcze może—korzystając z dwuznaczności ogłoszonej deklaracji — wycofać się i uratować nie tylko własne oblicze, ale i sytuację. Japońskie sfery wojskowe zdają się nawet tego obawiać, albowiem organ armii, „Hochi Shimbun“ powiada, że „fakt zastrzeżenia przez Wielką Brytanię jej praw i interesów w Chinach może stać się źródłem nieobliczalnego zła“, zaś minister marynarki, admirał Yonai wprost przestrzega naród japoński przed „przypuszczeniem, że angielska polityka na Dalekim Wschodzie zmieniła się w rezultacie rozmów tokijskich“.

W taką atmosferę chwiejności i zdrady z jednej strony, a rosnącej natarczywości i agresji z drugiej, wpadła bomba — krok Stanów Zjednoczonych, wypowiadających traktat handlowy z Japonią. Nie po raz pierwszy to prezydent Stanów Zjednoczonych jednym posunięciem wskazuje mężom stanu Anglii właściwą drogę postępowania z tymi, którzy boją się tylko siły. Zapowiedź embargo na broń dla Japonii to kubeł zimnej wody na rozgorączkowane głowy polityków tokijskich, którzy od

Ameryki dostają około 60% tego, czego im trzeba dla prowadzenia wojny; pozostałych 40% może im w większej części odebrać Anglia. Japonia — kolos na glinianych, bo cudzych, nogach, zadrżała pod tym ciosem. Rząd angielski zrobił dobrą minę i stwierdził, że oświadczenie rządu Stanów Zjednoczonych nie zaskoczyło go bynajmniej. Pozwalamy sobie o tym wątpić, bo jeszcze 26 lipca, na zapytanie labourzysty Wedgwood Benna, czy wiadomo mu, że „polityka dalekowschodnia Wielkiej Brytanii wywołuje jak najgorsze wrażenie w Stanach Zjednoczonych", premier Chamberlain odparł krótko: „Nie!" W obecnej więc chwili sytuacja jest wyjątkowo zagmatwana i trudno zgadywać, jaki przybierze obrót; czy Anglia będzie konsekwentnie prowadziła politykę Monachium Dalekiego Wschodu, czy też, opierając się na ramieniu, które jej w ostatniej chwili podsunął Roosevelt, „postawi się" mocno.

Naród chiński przyjął zdradę angielską tak, jak się tego można było spodziewać, jeśli miało się w pamięci stoicyzm i bohaterstwo narodu hiszpańskiego. W Czungkingu, obecnej stolicy chińskiej, ukazały się ogromne plakaty: „Zniszczmy w sobie wszelką myśl o kompromisie, poddaniu się lub pertraktacjach z wrogiem!", „Skupiajmy się dokoła Wodza Naczelnego!", „Możemy stracić życie, domy, rodziny, ale kraj nie zginie!" Nie zbrakło też komentarzy drastycznych. Jedna z gazet czungkińskich napisała wprost: „Jeśli brutalna siła i gwałt, to jedyne zrozumiałe dla pana Chamberlaina argumenty, to zastosujemy się do tego w przyszłości!" Nadzieje Tokio, a może i Londynu, zawiodły. Duch walki nie tylko nie osłabł, ale wzmógł się jeszcze, dokoła Szanghaju rozgorzały zażarte boje partyzantów chińkich z wojskami japońskimi. Odpowiedź chińska jest dla Chamberlaina równie jaskrawa, jak szach Roosevelta. Walka partyzancka trwa i będzie trwała. A tymczasem powstaje i szkoli się regularna, wielomilionowa armia chińska. Gdy otrzyma broń i stanie gotowa do boju, Wschodzące Słońce zacznie zachodzić.

WIKTOR GROSZ

(Część materiału zaczerpnąłem ze znakomitych prac Fredy Utley).

Harfiarka wielkiego ruchu

Tak strasznie głucho — zawstydzająco głucho było nad trumną Marii Markowskiej Odeszła — „tak cicho, jak duch gdy odlata" i — jakoby nie zostało po niej nawet miejsca próżnego. Parę wzmianek „ciepłych" — obowiązkowych — zdawkowych niemal ze strony ludzi, którzy coś tam pamiętali, dla których nazwisko jej nie było pustym dźwiękiem i — koniec. — Przeminęło...

Tylko na przedmieściach ulicznych śpiewak wywodzi tęskną nutę:

Nie straszny dla nas żaden wróg —
Swoboda, bracia, to nasz Bóg...

Słowa te, rzucone przez Marię Markowską, uciekły z kart wykwintnej książeczki, i poszły po przez szare szpalty nierówno zadrukowanych nielegalnych pisemek — w szeroki świat.

Bo była Markowska wtedy natchnieniem rewolucji, była jej budzicielem. Jej strofy rwały naprzód nieposkromioną, namiętną żądzą walki — wiersze te deklamowano na każdej uroczystości robotniczej, na każdym wieczorku rewolucyjnej młodzieży — była ona najbardziej płomienną i najbardziej — sądzę — popularną harfiarką wielkiej doby przedświtu — roku 1904-5.

Poezje jej na przełomie zeszłego stulecia poczęły ukazywać się po czasopismach. (Urodziła się w 1878 r.) Cechowała je przede wszystkim ogromna melodyjność. Poetka zgarnęła melancholię krainy nadbużańskiej — z Terespola pochodziła — i tkała na niej prześliczne wzory. Talent szczery, głęboki, mocny otwiera sobie drogę szeroko. Wiersze jej widzimy i w tygodnikach i w dziennikach, umieszczają je najpoważniejsze miesięczniki literackie, jak „Krytyka" krakowska — perły jej liryki znajdziemy i na dostojnych kartach przepysznej, miriamowskiej „Chimery", do której wstęp mieli tylko poeci najwyższej próby.

Bodaj żaden z naszych pisarzy nie umiał tak uchwycić rytmiki kasprowiczowej, nie wniknął tak w tajemnicę i ton iloczasowego wiersza. Niewielu tylko mogło pochlubić się tak mistrzowsko używaną synkopą i ściśle mierzoną pauzą poetycką. Słowa, zdania Markowskiej, jak niektóre utwory Lucjana Rydla, drgają w zupełnie prawidłowych interwałach — w najściślejszym tego słowa znaczeniu poprostu wygrać się dadzą nawet na instrumentach klawiszowych.

Potrzeba melodii szlachetnej, zwięzłej, regularnie mierzonej, zmusza do opracowania każdego drobiazgu w sposób cyzylerski. A nie pozbawiało to przecie ich mocy dramatycznej. Jak Miciński umiała poetka zawrzeć w niewielu słowach nie tylko przeżycie, ale walkę o nie, bój — poczynający się w ekspozycji — rosnący w napięciu — szukający rozwiązania.

Ta kobieta o czarnych, uroczych oczach, delikatnie rzeźbionych rysach, o charakterystycznej, nieomal groźnej urodzie staje się poetką rewolucji. Nie tendencja wyrozumowana, w głowie zrodzona, nawiewa jej motyw społeczny — nie przekonania programowe każą wznosić hymn pochwalny dla bohaterów, którzy poległymi ciałami dawali innym szczeble do sławy grodu. Markowska chwyta niewysłowione piękno poruszeń duszy ludzkiej, jej zespolenie ekstatyczne ze zbiorowością, wybuchy, w których zlewają się w jedność uczucia milionów jednostek w pogoni odwiecznej za ucieleśnieniem przyszłości, wolności, sprawiedliwości — siły — piękna — tam jest i Polska słoneczna.

W rewolucyjnych poezjach osiąga też szczyt swej dynamiki dramatycznej i niesłychane wyżyny muzyckie. Wiersz jej grzmi całą orkiestrą tonów. Wczytajmy się tylko w ową kompozycję, zatytułowaną datą 1904.

Wychodzimy z otchłani bezwładu, nędzy — nudy, w której płynie „za rokiem rok" w ponurej jednostajności „zazdroszczenia psom biesiady". Tony się mącą. Nadbiega nowy temat, zrazu nieśmiały, natarczywy, coraz mocniejszy i bardziej przejmujący:

...nie lepiej że nam, bracie mój, — na barykady?...

I wzbiera wszystko żądaniem walki — głosy zlewają się w unisonie:

Pod ziemią kuły nasze młoty
Przyszłego życia tajemnicę

rąbie rytm twardy — niby wykuwanie miecza na walkę olbrzymów — aż uderza i rozdziera mroki jasna barwa pobudki:

Dziś w dzień słoneczny idziem złoty —

i w marsz bojowy wdziera się wysoki krzyk przejmujący — krzyk kobiety — krzyk wróżki płomiennej:

Hej — na ulicę!

a rozkołysane głosy — gromem — od tłumu o całą oktawę niżej odgrzmiewają miażdżącą potęgą:

Na ulicę!!

×

Markowska wcześnie zamilkła.

Pociągały ją sprawy życia i walki w życiu, — sprawy realne, konkretne — przeobrażenia, które nadeszły. Dla nich już nie znalazła nuty nowej — na publicystykę zaś swojej poezji zamienić nie mogła. Taki był los — kapłaństwa. Jej rycerze poszli w bój — zanim Polska w nich swoich żołnierzy za Żeromskim uznała. Wybiegła naprzód — potem życie gnało za pochodnią jej poezji.

Markowska rozkochana w barwach kwiatów, w pięknie, w sztuce i książkach — czekała momentu, być może, gdy trzeba będzie nową treść śpiewać.

Życie deptało jej kwiaty.

Maria Markowska-Minkiewiczowa była żoną człowieka, bojowca co w ciągu pięciu lat służby wojennej uzyskał generalskie szlify, którego życie rozwijało się jak bajka — który może jak nikt inny czuł jej poezję i — wcielał jej strzępy w dzień powszedni. Porzucił służbę w kwiecie sił.

Ona — odeszła w zaświaty — zapomniana.

Lecz na przedmieściach codzień zawodzi głos ulicznego śpiewaka:

...*Swoboda, bracia — to nasz Bóg*...

słowa wplecione w marną, zawodzącą melodję brzmią, jako wyraz siły fatalnej, bezimiennej, co wędruje między ludźmi i rwie duszę z rynsztoka — ku słońcu.

ADAM UZIEMBŁO.

Nacjonalizm i demokracja w sprawie ukraińskiej

Odbyte nie dawno zebranie „Matirnoho Towarystwa Proświta", sprawozdanie, dyskusja i wybór nowych władz — rzucają snop światła na przeobrażenia zachodzące w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym.

„Proświta" jest największą ukraińską organizacją oświatową, skupiającą tysiące członków, mnóstwo oddziałów i czytelni, rozsianych na terenie województw południowo-wschodnich, z siedzibą główną we Lwowie. Na czele tej organizacji stoją obecnie żywioły o charakterze nacjonalistycznym, klerykalnym, odpowiednio raekcyjnym. Prym trzymali w niej dotychczas kierownicy organizacji politycznej UNDO, którzy dla nadania „Proświcie" charakteru ogólniejszego dopuszczali do władzy i do pracy działaczów Ukraińskiej Socjalistyczno-Radykalnej Partii (USRP).

Tak było przez całe lata aż do ostatniego zebrania. Jeszcze na ostatnim zebraniu przewodniczył undowiec p. Mudryj, wicemarszałek Sejmu; jeszcze w sprawozdaniach i w dyskusji zabierali głos dotychczasowi działacze undowscy, ale do nowego zarządu nikt z nich już nie wszedł.

Nie wszedł ani dotychczasowy prezes dr Bryk, ani sekretarz Dużyj, ani nikt ze znanych przywódców Unda: posłowie Mudryj, Witwicki, Pełeński, senator Tworydło.

Weszli ludzie nowi o zabarwieniu wybitnie faszystowskim z pod znaku p. Palijewa, częściowo z Katolickiej Akcji Ukraińskiej Młodzieży.

Przewodniczącym został ks. Julian Dzerowycz, jeden z wyższych dygnitarzy św. Jura, sekretarzem p. Bohdan Krawciw „specjalista od robienia wiatru", jak go określa chomyszynowska „Nowa Zoria"; wszedł dalej red. Hlibowyćkyj, przewódca „Orliw" (jednej z organizacyj świętojurskich) i wielu innych młodych, skrajnych nacjonalistów inspirowanych przez Palijewa, jak o tym wyraźnie pisze p. Iwan Kedryn w „Dile" — a nawet przez OUN, jak piszą inni.

Wynik zebrania jest więc taki: likwidacja żywiołów starszych, ostrożnych, kompromisowych, a wysunięcie ludzi nowych, zapalonych hurranacjonalizmem, zerkających w stronę Hitlera.

Interpretacje prawicowych pism ukraińskich: „Diła", „Nacjonalnej Polityki", „Mety", „Ukraińskich Wistej" — a nawet „Hromadśkiego Hołosu", który wynik wyborów kładzie na karb przednówku i utrącenia przez to elementu wiejskiego — wszystkie te interpretacje nie potrafią zasłonić faktu, że nacjonalizm ukraiński mimo hitlerowskich doświadczeń idzie z zamkniętymi oczyma pod nóż faszyzmu.

Cóż się na to składa? Oczywiście wiele przyczyn. Jednak najważniejszą przyczyną wzrostu orientacji prohitlerowskiej w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym jest stosunek nacjonalizmu polskiego do zagadnień mniejszości narodowych w Polsce.

ST. M.

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

Jerzy Courteline

Dnia 25 czerwca 1929 r. w jednym z paryskich szpitali umarł po amputacji obu nóg pisarz francuski, autor lekkich komedyjek i noweletek, Jerzy Courteline.

Pozostawił puściznę literacką, której rozmiarów, ani nawet objętości nie potrafiono odrazu ocenić. Trzeba było dziesięciu lat, aby... w centymetrach sześciennych określić Courteline'a. „Éditions Littéraires de France" wydały ostatnio „Dzieła Zebrane" Courteline'a, obliczone na blisko 10 sporych tomów.

Składają się na to prace „kapitalne", jak „Les Linottes", „Les Gaîtés de l' Escadron", „Philosophie de Georges Courteline" i szereg drobnych komedyjek, pisanych między r. 1885 i 1905.

Aby wiedzieć, kim był Courteline, trzeba go poznać nie tylko w tym trzecim wymiarze, trzeba wniknąć w tego pozornie powierzchownego pisarza lepiej, niż to dotychczas czyniono, a może pod pochwą „wodewilu" dostrzeżemy ostrze społecznej satyry, a w słowach Courteline'a zadźwięczy sarkazm i oburzenie. Z pisarzem tym zapoznać się winien czytelnik polski. Dziwne, że Courteline jeszcze do nas nie przeniknął.

Po upływie dziesięciu lat od śmierci Courteline'a czas nadszedł — jak się wydaje — aby zdać sobie sprawę, jakie miejsce zajmuje w literaturze ów „płaski" wodewilista, autor fars o stylu niecyzelowanym, ba! — wulgarnym nieraz, malarz kukieł mieszczańskich, nie znający umiaru w swej pasji karykaturzysty.

Courteline nie zasłużył na zapomnienie, jakie mu przypadło w udziale. Wyśmiewał to, co w mieszczaństwie miało stać się groźne, walczył bronią śmiechu z „irracjonalizmem" mieszczańskim, na którym pobudować się miała najohydniejsza tyrania, drwił z zakłamanej moralności i „filantropijnych" koncepcyj — i za to należy mu się pamięć.

Współcześni nie doceniali Courteline'a. Krytyka nie szczędziła mu zarzutów. Mieniła go pisarzem wulgarnym, o nieukształconym stylu, zaliczając go do rzędu autorów bulwarowych.

Wulgarność ujęcia jest u Courteline'a istotnie niezaprzeczalna w wielu z jego prac. Lecz wystarczy przeczytać taki oto np. „wyciąg z protokółu policyjnego o obrazę moralności" („Paragraf 330"), aby pojąć, że wulgarne, a nawet często... nieprzyzwoite koncepcje i zwroty stanowiły właśnie styl Courteline'a, że nadawały szczególny ton i barwę jego twórczości: „Przed domem pod numerem 5-bis, rozróżniliśmy wyraźnie w głębi apartamentu, widocznego dla wszystkich przez otwarte naoścież okno, pewien rodzaj niepełnej kuli, przeciętej w kierunku pionowym, przypominającej kształt dwulistnej koniczyny, co było — jak rozpoznaliśmy częścią dolną i tylną osoby pochylonej, jak gdyby z chęcią ucałowania ziemi".

Czyż nie widać jasno, że to — nie byle jak kpiarskie — postawienie kwestii obrazy moralności *zasadza się* właśnie na... nieprzyzwoitości? Że Courteline lepiej od bohatera swojej farsy obraża tu tę kołtuńską moralność, dotkniętą do żywego widokiem nagiego człowieka, poszukującego pod łóżkiem pięciosusowej monety, lecz jednocześnie tolerującą — co w innych farsach Courteline podkreślił — zgoła poważne wykroczenia?

Oto wulgarność, stanowiąca cel ataków krytyki, która — rzecz prosta — nie potrafiła, lub nie chciała zrozumieć Courteline'a.

Bo też wartości prac autora „Linottes" szukać należy zupełnie gdzieindziej, niż to czyniła współczesna krytyka. Fakt ten dostrzegł *Francis Ambrière*, który w „Nouvelles Littéraires" (24 czerwca 1939) pisze: „Niesprawiedliwe objawy wzgardy, które zdumiewały by bardziej jeszcze, gdyby nie pochodziły od dwóch pisarzy naturalistycznych, zbyt zajętych pozorami rzeczy, aby sięgać do głębi". Owi dwaj pisarze naturalistyczni — to *Henry Céard* i *Gustave Geffroy*.

Lecz podkreślając krótkowzroczność i niesprawiedliwość krytyki naturalistycznej, Francis Ambrière nie pokusił się o wskazanie, gdzie tkwią artystyczne wartości twórcze Courteline'a.

Otóż nie pomylił by się gdyby twórczość Courteline'a nawiązać chciał do puścizny takich mistrzów satyry, jak Dickens i nawet Le Sage.

Wpływ „Klubu Pickwick'a" i „Turcaret'a" jest bardzo widoczny w licznych pracach Courteline'a; np. w „Boubouroche" nietrudno odnaleźć naszkicowane zlekka towarzystwo pickwickowskie, oczywiście przekształcone nieco, przyprawione à la Courteline. W „Linottes" dostrzega się łatwo rzecz podobną. Jeśli jednak Dickens traktował swych bohaterów z dużą sympatią, autor „Linottes" odnosi się do swoich niechętnie i nie szczędzi im krytyki.

Trudno podejrzewać Courteline'a o sympatie do Roberta Cozal, lub do Hamieta.

Hamiet'owi np. wpada do głowy pomysł założenia café, w którym „nie będzie się piło". Hamiet zamierza w ten sposób uchronić ludzi od nałogu pijaństwa i rozwinąć handel lemoniadą, stać się jednocześnie dobroczyńcą ludzkości i wzbogacić się.

Oto jak Courteline w bezsensownej koncepcji Hamieta wyszydza praktyczny zmysł „filantropijny" burżua, pragnącego pogodzić pożyteczne z dochodowym —

Kto idzie naprzód, musi dojść, gdzie myślą zamierzył, choćby sto strachów zastąpiło na rozstajnych drogach.
Władysław Orkan

i jednocześnie drwi z „irracjonalizmu“ mieszczańskiego, zdolnego do podobnych pomysłów.

Satyra ma — jak widać — głęboki podkład społeczny. Nie brak go i w innych pracach Courteline‘a.

Żandarm Labourbourax („Le Gendarme est sans pitié“) obsypuje karami byle biedaka, któremu „wypsnie się“ jakiś dowcip pod jego adresem. Ale wobec barona Larade, który go obelżywie przezwał, zmuszony jest ustąpić. Courteline z głębokim sarkazmem pokazuje scenę, w której zastępca prokuratora szuka sposobu korzystnej dla barona interpretacji tego kłopotliwego faktu, ale znajduje ją sam pan żandarm Labourbourax.

Czy to Adèle z „Boubouroche‘a“, istna baronne z „Turcaret‘a“, czy też adwokat Barbemolle, każda z tych postaci courtelinowskiego teatru kukiełek jest ucieleśnieniem społecznego problemu. Courteline umiał patrzeć przenikliwie i malować prawdę życiową kapitalizmu z pasją karykaturzysty. Lecz nie w przeglądzie karykatur szukać trzeba Courteline‘a, lecz w duchu przenikającym twórczość autora „Linottes“.

Wspominać Jerzego Courteline, to znaczy nawiązywać do tradycji, którą reprezentował i uznawać szyderstwo, którym był przepełniony.

KAZIMIERZ LUK

Żołnierze bagna

Tak zatytułował swoje sprawozdanie z pobytu w niemieckich obozach koncentracyjnych aktor-niemiec, Wolfgang Langhoff. Książka wyszła w Szwajcarii i dziś jest już znana całemu czytającemu światu. Jest to istotnie sprawozdanie i autor dał swej książce taki podtytuł: niepolityczne, rzeczowe sprawozdanie. Ustępy które dalej zamieścimy, są tłumaczone z 28-go wydania tej książki, ilustrowanej przez malarza — przypadkowego współtowarzysza niedoli. Autor książki, 34-letni człowiek, nie ma żadnych zainteresowań politycznych i żadnego politycznego oblicza: udzielał się tylko, jako recytator i artysta, w środowisku demokratycznym, grywając i deklamując na scenach i w ośrodkach robotniczych, ostatnio w Düsseldorfie. Ten fakt posłużył jakiemuś donosicielowi do spowodowania aresztu Langhoffa i później — do wysłania go do obozu koncentracyjnego. Pamiętnik — sprawozdanie zawiera 314 stron. W 27-miu krótkich rozdziałach, opisane jest życie w dwóch obozach koncentracyjnych, Börgermoor i Lichtenburg, gdzie autor spędził łącznie 13 miesięcy. Opis dotyczy w głównej mierze faktycznej strony życia; w opisie przeżyć wewnętrznych autor jest niezwykle powściągliwy i lakoniczny. Brak też w książce jakichkolwiek sądów i ocen politycznych: ta sfera myśli jest zgoła obca młodemu aktorowi. Książka stanowi cenny dokument życia na tym odcinku współczesności niemieckiej.

PRZYBYCIE DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO W BÖRGERMOOR.

... Jest nas 480 ludzi. Oficer policji oddaje nas przywódcy transportu i opuszcza dworzec wraz ze swymi podkomendnymi. Teraz jesteśmy sami z S. S. Dowódca przebiega wzdłuż szeregów.

„Kalecy i inwalidzi stawać z tyłu, prędzej, prędzej! Wszyscy słuchać! Ruszamy do obozu! W czasie przemarszu ani słowa! Głowy trzymać równo! Kto spojrzy w prawo lub w lewo, będzie zastrzelony! Robimy bezwzględny użytek z broni! Będzie się do was strzelać za najmniejsze uchybienie. Wymagam doskonałego porządku w marszu. Oddział, w prawo marsz!“.

I teraz rozpoczął się ów gwałtowny marsz przez pola, którego nigdy nie zdołam zapomnieć.

Naprzód szliśmy przez sosnowy las. W tempie błyskawicznym. Na prawo i na lewo od nas — szturmowcy, z karabinami przygotowanymi do strzału.

„Wstrzymać! Równać! Marsz! Lewa, lewa, lewa!“

„Trzymać krok! Wyrównać! Odstęp!“

„Kierunek! Żywo, żywo! Ty świnio, tam w drugim rzędzie, patrz przed siebie!“

Pędziliśmy przez drogę, przez deszczowe kałuże, z naszymi pudłami w rękach lub na plecach. Ze wszystkich stron bezustannie krzyczano: „Kierunek! Odstęp!“

Musieliśmy bardzo uważać na odstępy. SS-mani latali dokoła nas jak poganicze bydła. Z przodu zaś rozlegała się komenda: „Biegiem marsz!“

Biegliśmy kłusem. Niektórzy nie mogli nadążyć. SS-mani wskoczyli między nas. „Żywo, żywo! Ja ci już sprawię nogi!“ „Przeklęte świnie, nie umiecie zachowywać odstępu?!“

Pędziliśmy biegiem przez las. Przed nami rozpościerała się łąka bez granic. Tempo! Tempo! Nasze plecaki stawały się ponad siłę ciężkie. Sznurki wpijały się w dłonie. Nie byliśmy przyzwyczajeni do biegu. Serce waliło mi wściekle. Ciało po czterech miesiącach więzienia stało się słabe. Szturmowcy wypoczęci, trenowani. W szeregu przedemną biegnie subjekt sklepowy. Ten jeden ma ze sobą walizę. Niesie ją na plecach i chyli się pod jej ciężarem. Pot spływa mu po karku. Ja wiem, że z tyłu biegną ułomni z kijami. Wytężamy wzrok przed siebie. Nic nie widać, prócz bagna i pustej przestrzeni.

„Maszerować!“

„Równać! Odstęp! Żywo, żywo, żywo!“

Pochód dezorganizuje się z przodu. SS. uderza kolbami po szeregach, więźniowie starają się unikać ciosów. Krzyki, przekleństwa, jęki.

„Zewrzeć szeregi! Świńskie psy!“

Teraz buszują tuż za mną, słychać ciosy, a my w dzikim pędzie mkniemy naprzód. Zacisnąłem zęby, nie spojrzę w prawo ni w lewo, widzę tylko słupy telegraficzne przed sobą, kawałek kanału i wieczorne niebo.

„Wystąp, czerwona świnio! Wystąp z szeregu! Gadałeś przed chwilą!“

Wyrywają kogoś z mego rzędu. Krzyczy. My biegniemy dalej. Nie widać żadnej wsi, żadnego domu. Pusta przestrzeń, bez końca.

„Oddział, stój!“

Wstrzymujemy się, sapiąc.

„W prawo zwrot! Żeglować!“

Załatwiamy nasze naturalne potrzeby. Odsapujemy. Chorzy próbują pertraktować ze szturmowcami. „Nie możemy tak dłużej! Nie pójdziemy już dalej...“

„Stulić pyski! Oddział maszerować! Lewa, lewa, lewa!“

,Oddzielają trzech czy czterech ludzi z brzegu i gonią ich przez drogę naprzód.

„Padnij!“ Padają w błoto. „Powstań! Marsz!“ Wyskakują i gonią dalej. „Padnij! Powstań! Oddział zwrot!“ Biegną wstecz aż zrównają się z nami. „Oddział zwrot! Maszerować!“ Pędzą znów naprzód. „Padnij! Powstań!“

Doszliśmy do jakiegoś mostu. Drogowskaz: Börgermoor 18 km. Woda w kanale czarna i tłusta. Tempo! Tempo!

„Kierunek! Odstęp! Odstęp! Wstrzymaj krok! Lewa... lewa, lewa!“

Ktoś mruknął: „Śpiewać!“

„Śpiewać!“ zawołali szturmowcy wzdłuż szeregów.

Na przedzie zaczynają: „Das Wandern ist des Müllers Lust, das Wan-dern“...

„Dołącz!“

Ale nasz śpiew przypomina raczej mruczenie.

„Nie umiecie otworzyć pysków?! ...Inną pieśń! Żywo, żywo! Śpiewać! No, czy prędko?!“ Rozdają kopnięcia.

O dwa rzędy przedemną ktoś zaczyna śpiewać. Już nie wiem, co to jest. Powtarza się refren: „Wird nur mein Vaterland, mein Deutschland frei!“

Próbujemy wtórować melodii, a ten na przedzie wydziera się jakby to było warte życia: „Wird nur mein Vaterland, mein Deutschland frei!“...

...Kiedy wreszcie dojdziemy? Jak długo będzie trwał ten piekielny marsz?

Wieczność mija, aż znów słyszymy: „Oddział stój! Żeglować!“

Możemy więc znów wystąpić z szeregu. Ułomnych podtrzymują koledzy.

„Oddział marsz!“

Nastaje zmrok. Szara pustynia jak tylko okiem sięgnąć.

„Śpiewać!“ „Musisz śpiewać, czerwona świnio!“

Śpiewamy jeden przez drugiego. Co komu wypadnie. I wszystko w pośpiesznym marszu.

„Lewa, lewa, lewa!“ Nagle wszystko staje. „Lewa, lewa, lewa! Czekajcie no, tego wam nie zapomnimy! Lewa, lewa, lewa!“

„Ach, ach!“ jeden padł. Biją go... „Lewa, lewa, lewa!“

Ach, gdybym mógł cię złapać teraz za gardło, SS-manie! Tak, tak, ciebie! Spojrzyj tylko na mnie! — Lewa, lewa, lewa!

Wreszcie pojawiają się jakieś domy ponad kanałem. Małe wieśniacze domy.

„Wolniej! Trzymaj krok!“

Wieśniacy z dziećmi stoją po brzegach chodników. Mijamy ich defiladowym krokiem. Wytrzeszczają na nas oczy.

Jeszcze niema obozu.

Ale tam, na horyzoncie, żółte zabudowania. Podchodzimy bliżej. Niskie, podłużne baraki pośród bagna. Dokoła drut kolczasty w wysokim ogrodzeniu. Dwie baszty drewniane. Biegniemy w lewo przez jakiś most.

„Trzymaj krok! Wyrównaj!“

Nogi latają. Z trzech baraków, postawionych przed ogrodzeniem, wybiegają na nasze spotkanie SS-mani.

„Oddział stój! W lewo zwrot;“

Stoimy przed wejściem do obozu. Jest już prawie noc. Z jednego z baraków wychodzi olbrzymi, gruby SS-man, bez czapki, na jednej nodze but, na drugiej drewniany trep, kij w ręku: komendant.

Dowódca naszego transportu melduje: „480 więźniów na miejscu“.

„Dziękuję! Tytoń, zapałki, noże, — wszystko oddawać! Przy każdej próbie ucieczki — strzelamy! Wchodzić!“

„W prawo zwrot, marsz!“

Mijamy bramę państwowego pruskiego obozu koncentracyjnego Bürgermoor pod Papenburgiem. Potykamy się o ścieki, gruz, bale i deski. Przy stole w wolnym miejscu odbierają nam rzeczy. Wszystko zmieszane razem. Prowadzą nas po sto osób do baraku, tam padamy na sienniki dwupiętrowych polowych łóżek. Nie wiemy już o niczym. Śpimy.

PRZEŁOŻYŁA: HALINA KRAHELSKA.

Kolumna rozmaitości

ŁOTRY

„Vlajka“ organ czeskiej grupy faszystowskiej, swego czasu zachwalanej u nas przez reakcję, otrzymał od hitlerowców subwencję w wysokości 600 tysięcy koron, przy czym dalsze pół miliona zdeponowano „na zapas“. Zawołani „narodowcy“ w swej służalczości wobec Berlina prześcignęli nawet Hachę i Chvalkovskiego i stanowią w tej chwili bezpośrednie oparcie dla okupacji niemieckiej. Jeżeli „rządząca“ z łaski Berlina t.zw. Wspólnota Narodowa p. Hrubego od czasu do czasu pod naciskiem społeczeństwa musi markować jakąś obronę ludności przed brutalnością i krwawą samowolą okupanta, to „narodowcy“ spod znaku „Vlajki“ stanowią poprostu bandę siepaczy i katów własnego narodu, komenderowaną bezpośrednio przez Gestapo. Spełniają tę samą rolę, co hiszpańska „Falanga“ — tę samą, której nie dane było spełnić w Rumunii Korneliuszowi Codreanu, w Belgii Leonowi Degrelle. Jak w innych krajach, tak i w Czechach „nowoczesny“ nacjonalizm okazał się rozsadnikiem zdrady, wylęgarnią Targowicy, agenturą Niemiec.

NAGRODZONY SPRZEDAWCZYK

Zdrajca Chvalkovsky, który wydał swój kraj na łaskę i niełaskę zaborcy, dorobił się szybko na swej „narodowej“ robocie. Wybrany już dawniej do kilku rad nadzorczych, obecnie nabył w Czechach majątek ziemski powierzchni około tysiąca trzystu hektarów. W tej samej chwili, gdy ludność czeską masowo wywozi się na przymusowe roboty do Niemiec, jeden z hersztów „narodowej“ Targowicy spożywa owoce swego znojnego trudu, bogaci się na klęsce i upokorzeniu własnej ojczyzny.

SŁOWACY WALCZĄ Z NAJAZDEM

Wydział czeskosłowackiej emigracji politycznej w Polsce komunikuje: „Dn. 8 i 9.VII. odbył się w Banskiej Bystrzycy zjazd młodzieży ewangelickiej, liczba uczestników sięgała około 40.000 osób. Organizatorzy zjazdu liczyli na maksymalny udział 20.000. Uroczystą mowę wygłosił biskup ewangelicki Osusky, który podkreślił wpływ ideałów rewolucji francuskiej na narodowy ruch słowacki w ub. stuleciu. Ta uwaga wywołała burzliwy aplauz. Pozdrowienia zjazdu od czeskich i polskich ewangelików witane były z uniesieniem. Cały obóz protestancki na Słowacji stoi w ostrej walce przeciw grożącej germanizacji i przeciw zdradzieckiej polityce rządu Tisy“.

OTTO ABETZ I LEON DEGRELLE

Skandaliczna afera aresztowania agentów niemieckich we Francji umożliwiła stwierdzenie, że szpiegowską i dywersyjną robotą hitlerowców francuskich kierował niejaki Otto Abetz, obywatel Rzeszy, obecnie znajdujący się już poza granicami Francji.

Otóż czasopismo paryskie „Lumière" doniosło, że ów Abetz „pracował" swego czasu w Belgii, gdzie organizował tamtejszy „narodowy" ruch faszystowski Leona Degrelle, t.zw. Rex. Opuścił Belgię względnie niedawno, dokładnie nazajutrz po wielkiej klęsce wyborczej degrellowskiego faszyzmu.

Degrelle był swego czasu jednym z pupilków naszych „narodowców". Prasa oenerowska przynosiła jego podobiznę — widzieliśmy dorodne oblicze dobrze odżywionego młodzieńca z malutkim wąsikiem. Ten obiecujący kawaler, pasowany na „zbawcę" Belgii, był sobie poprostu berlińskim jurgieltnikiem. Jeszcze jeden.

SIR OSWALD TEŻ MA WĄSIK

Przywódcą „narodowców" angielskich jest inny adonis z wąsikiem: sir Oswald Mosley. Ten zakochany w Hitlerze arystokrata angielski niedawno wypowiedział się w sprawach polityki międzynarodowej. Sir Oswald uważa, że trzeba oddać Gdańsk Niemcom i w ogóle pozostawić całą Środkową i Wschodnią Europę imperializmowi niemieckiemu. „Wódz" angielskiego ruchu „narodowego" należy oczywiście do tych, którzy krzyczą, że nie warto umierać za Gdańsk. Razem z generałem Franco popiera zaborcze dążenia Trzeciej Rzeszy. Tak bowiem nakazuje mu „ideologiczny" interes faszystowskiego bloku napastniczego, którego agentem jest na terenie angielskim.

Jako prawy „narodowiec" sir Oswald musi być wrogiem Polski.

Osobliwe przerzucanie obowiązków

Wobec ciągle jeszcze trwającego — pomimo pozornego „uspokojenia" — skupienia uwagi społeczeństwa na zagadnieniach polityki międzynarodowej, które tak bezpośrednio wiążą się z najważniejszą dla nas sprawą niepodległego bytu, nie wywołał dotychczas poważniejszego echa w opinii najnowszy wynalazek jakiegoś referenta z Ministerstwa W.R. i O.P., zaaprobowany podobno — choć nie chce się w to wierzyć — przez min. Świętosławskiego.

Projekt ten polega na tym, aby część etatów nauczycielskich — wobec konieczności poczynienia nowych oszczędności na oświacie — przenieść do budżetów gmin względnie przekazać koszty ich utrzymania dobroczynności publicznej (podobnie jak uczyniono kilka lat temu z budownictwem szkół powszechnych). Nie wiemy jeszcze, jak sobie autor projektu wyobraża praktyczny sposób wprowadzenia tego pomysłu w życie: czy nauczycielom, pozostającym na takich „etatach", wydawane będą zaświadczenia, upoważniające ich do „kwestowania" na ulicach, czy powołane będzie specjalne „Towarzystwo Utrzymywania Nauczycieli Szkół Powszechnych" — czy też przekaże się utrzymanie nauczycieli t. zw. Pomocy Zimowej.

Mniejsza o to zresztą. Nie o formę chodzi lecz o treść — o to, że takie przerzucenie obowiązków, ciążących z natury rzeczy na Państwie, na czynniki samorządowe, czy społeczne doprowadzić musi do całkowitego rozkładu szkolnictwa. Niebezpieczeństwo jest poważne, konieczna jest natychmiastowa reakcja opinii, która w porę zapobiegłaby próbom realizacji niefortunnych pomysłów.

DO PRZYJACIÓŁ „EPOKI".

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI".

Demokracja polska
zawsze walczyła
i walczy obecnie
o przyszłość Polski

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce zł. 1.—, w tekście. Za tekstem gr 60
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 6.6 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i [illegible]